



Harlequin SPECIAL®

Gwiazdka Miłości



Trzy opowiadania znakomitych autorek,
których akcja rozgrywa się w szczególnym czasie
i niepowtarzalnej atmosferze Bożego Narodzenia.

Trzy pary bohaterów,
których zbolale serca rozradowała miłość.

Trzy historie, które uczą wiary
w przychylność opatrności
i nadziei na spełnienie najskrytszych marzeń.

MIŁOŚĆ PRZYSZŁA W ŚWIĘTA ✦ Patricia Gardner Evans
OTWÓRZ SWOJE SERCE ✦ Janet Dailey
NA DOBRE I ZŁE ✦ Jennifer Greene

Ponadto trzy świąteczne przepisy
napisane przez Patricję, Janet i Jennifer
specjalnie dla Was.



CENA 6,90 (69 000) ZŁ

NR 12 (5) CENA 6,90 (69 000) ZŁ INDEKS 224531



Harlequin SPECIAL®

Gwiazdka Miłości



Janet Dailey
Jennifer Greene
Patricia Gardner Evans



Miłość przyszła w święta

Patricia Gardner Evans

przełożyła Bogumiła Nawrot

Gwiazdka miłości



Rozdział 1

- Następny proszę!

Stojący w ogonku posunęli się nieco do przodu i Claire Ezrin znalazła się pół kroku bliżej celu. Od rana prześladował ją pech. Nowy dziekan szkoły medycznej zwołał na dziś pierwsze zebranie personelu i akurat tego dnia zastrajkował jej budzik. Pobiegła do łazienki i spojrzała w lustro, łapiąc jednocześnie tubkę z maścią cynkową zamiast z pastą do zębów. Stwierdziła, że włosy ma w oplakany stanie. Energicznie wypłukała usta, by pozbyć się wstrętnego smaku maści. Zamiast nałożyć na twarz warstwę kremu nawilżającego, posmarowała się próbką preparatu do zmiękczenia skóry. Pocieszyła się, że może dzięki temu pozbędzie się kilku zmarszczek. Doszła do wniosku, że lepiej zrezygnować z pełnego makijażu, i ograniczyła się do pomalowania rzęs.

Czerwony kostium, w którym zamierzała skorzystać nie wypaść w oczach nowego przełożonego, nagle wydał jej się niestosowny. Rajstopy nadal leżały w suszarce, oczywiście mokre. Mogła odpieczętować nowe opakowanie podkolanówek, ale rzuciwszy okiem na zegarek, postanowiła pozbyć się zbędnego owłosienia na łydkach do miejsca, do którego sięgała jej najdłuższa spódnica. Tak niezgrabnie ściągała ją z wieszaka,

że ta wpadła prosto do sedesu - na szczęście dopiero co spuściła wodę. Nie mogła już zdjąć swetra, bo zużyła resztkę lakieru do włosów na utrwalenie czegoś, co szumnie nazywała kokiem, więc nie pozostało jej nic innego, jak tylko włożyć spodnie z szarej flaneli. Postanowiła, że na zebraniu usiądzie w ostatnim rzędzie i postara się jak najmniej rzucać w oczy.

Kolejka nagle posunęła się do przodu niemal o metr, bo otwarto jeszcze dwa okienka, a od trzeciego akurat odszedł interesant. Claire zorientowała się, że będzie następna. Powróciła myślami do wydarzeń dzisiejszego dnia. Nie miała czasu na śniadanie, dlatego po serii nieszczęść w łazience w kuchni przytrafiło jej się tylko jedno: wlała kotu resztę zupy, którą zamierzała zjeść na obiad. Potem wszystko potoczyło się już gładko. Samochód zapalił bez problemu, jadąc do Albuquerque nie natknęła się na żadną wyrwę w jezdni, nowy dziekan okazał się człowiekiem nadzwyczaj oszczędnym w słowach, zapowiedział, że przystąpi do obchodu... czytaj: inspekcji swego wydziału dopiero po świętach. Była to wyjątkowo dobra wiadomość dla wydziału kształcącego laborantów, cierpiącego na brak ludzi i przeżywającego akurat gorączkę końcowych egzaminów. Zanim zawita u nich dziekan, zajęcia znów będą się odbywały zwykłym trybem, a Sylvia, kierowniczka wydziału, przy odrobinie szczęścia znajdzie jeszcze dwóch techników medycznych, chętnych do zamienienia pracy w laboratorium na zajęcia ze studentami. Claire pomyślała, że może zła passa minęła.

Myliła się. To była jedynie cisza przed burzą. Na egzaminie praktycznym z analiz moczu asystent po-

tknął się, niosąc tacę pełną próbek. Wszystkie wylądowały w otwartej torbie Claire. Wycierając ją, myjąc i dezynfekując, znalazła wezwanie do zapłaty podatku od nieruchomości - termin mijał pojutrze. I dlatego zamiast egzaminować teraz studentów, stała w ogonku w Urzędzie Skarbowym Okręgu Bernalillo.

- Następny proszę!

Claire drgnęła na dźwięk głębokiego męskiego głosu i podeszła do okienka, ściskając w ręku nieco wilgotny kwit.

Co roku w połowie listopada skarbnik okręgowy - potocznie nazywany poborcą podatkowym - wysyłał wezwania do zapłaty podatku od nieruchomości. Mieszkańcy Albuquerque niezbyt chętnie je witali w gorącym okresie przedświątecznym i bez przesady można stwierdzić, że przez następne trzydzieści dni poborca podatkowy był najmniej lubianym człowiekiem w okolicy.

W tym roku odnosili się do niego szczególnie niezyczliwie, pomyślał kwaśno Jack Herrod. Przyczyniła się do tego podwyżka podatków, na którą zgodzili się ci sami mieszkańcy jeszcze w lutym, o czym dawno zdążyli zapomnieć. Obejmując w styczniu nowe stanowisko, żartował, że jest odporny na antypatię, która zazwyczaj otacza poborcę podatkowego, ponieważ jako adwokat przywykł do przejawów ludzkiej niechęci. Dzisiaj był jednak w szczególnie drażliwym nastroju. Komputery co chwila się zawieszały, kierowniczka biura z samego rana oświadczyła, że pracuje tylko do piątku, i o jeden raz za dużo nazwano go „królem Herodem”. Może do Gwiazdki zostały tylko dWatygodnie,

ale ludzi, wymachujących mu przed nosem wezwaniami, trudno było posądzić o radosny nastrój. Jego zresztą również. Zobaczył, że zbliża się następna interesantka, spojrzał na jej lewą dłoń i odruchowo wciągnął brzuch. Może jednak ten dzień nie będzie taki najgorszy.

Claire z uśmiechem na twarzy wręczyła kwit, modląc się w duchu, by urzędnik nie zauważył, że jest wilgotny - chociaż dokładnie zdezynfekowany - albo, co gorsza, nie zaczął zadawać pytań. Poczuła, że uśmiech zamiera jej na ustach. Mężczyzna wziął wezwanie, rzucił nań okiem, a jego sympatyczną - wyjątkowo sympatyczną minę - nagle zastąpiło zmarszczenie brwi.

- Dzień dobry, pani Swearingen. - To idiotyzm, pomyślał Jack, poczuć takie rozczarowanie na widok imienia mężczyzny przy nazwisku.

- Państwo Swearingen to poprzedni właściciele - wyjaśniła pośpiesznie Claire. - Kupiłam dom tuż po tym, jak rozesłano wezwania płatnicze. Nazywam się Claire Ezrin.

Mężczyzna wprowadził jakieś dane do komputera, patrząc na monitor, a po chwili odwrócił się do niej. Zmrużyła oczy, jakby nagle oślepiło ją silne światło.

- Dzień dobry, panno Ezrin - powiedział z uśmiechem. Uaktualniony zapis potwierdzał to, czego się domyślił po braku obrączki na palcu kobiety i liczbie pojedynczej użytej zamiast „my”. Bobby z pewnością wyśmiałby jego oficjalny ton, ale on nie był zwolennikiem zwracania się do obcych po imieniu, co obecnie stało się tak powszechne. Pan, pani i panna to wielce użyteczne słowa, powtarzał swym pracownikom. Poza

tym każda rada dotycząca kobiet, wypowiedziana przez mężczyznę trzykrotnie żonatego w ciągu ostatnich trzydziestu lat, była podejrzana. Już się miał przedstawić, kiedy kobieta odpowiedziała:

- Dzień dobry, panie Herrod. - Jej bezpośredniość była urzekająca tym bardziej, że zaprawiona odrobiną nieśmiałości.

To idiotyczne, uznał w duchu Jack, tak się ucieszyć, że go poznała. Ostatnio poświęcano mu w lokalnych wiadomościach tyle uwagi, że rozpoznawała go połowa mieszkańców stanu Nowy Meksyk. Nacisnął kilka klawiszy, by wydrukować nowy rachunek. Komputer przez cały dzień pracował zbyt wolno, więc naturalnie teraz, kiedy Jackowi zależało, by zyskać na czasie, wykonał polecenie błyskawicznie. Drukarka wypuła formularz i nie pozostawało mu nic innego, jak wręczyć go interesantce.

- Na rachunku widnieje cała należność, ale oczywiście teraz płaci pani tylko połowę. Resztę proszę uregulować w kwietniu. - Wstrzymał oddech, kiedy spojrziała na kwotę. Ponieważ sprzedaż automatycznie powodowała przeliczenie podatku, jej rachunek był wyższy od tego, jaki zapłaciliby poprzedni właściciele.

- O! Mniej, niż się spodziewałam. - Claire próbowała maksymalnie się skupić na wyciąganiu z torebki książeczki czekowej. Jasne, że zauważała mężczyzn, ostatecznie nie była ślepa. Tylko zazwyczaj nie zauważała ich aż tak... wyraźnie.

- Pierwszy raz słyszę coś takiego - powiedział Jack z poważną miną.

Roześmiała się, przekreślając na czeku stary adres

oraz numer telefonu i starannie wypisując nowe dane. Odczytał numer, szybko zapisał go na skrawku papieru, który następnie wsunął do kieszeni. Claire wydarła czek i wręczyła go mężczyźnie razem z odcinkiem za pierwszą ratę podatku.

- Muszę przyznać, jestem pod wrażeniem, że sam obsługuje pan interesantów.

- Nie mogę pozwolić, by ta przyjemność spotykała tylko moich pracowników - powiedział nieco sarkastycznie, ponieważ mężczyzna w okienku obok akurat wstał i skierował się na zaplecze, mrużąc coś gniewnie pod nosem.

Wrażenie na niej zrobił nie tylko fakt, że skarbnik okręgowy nie wzdragał się przed pracą na pierwszej linii frontu. W telewizji wyglądał na niezwykle sympatycznego, a w bezpośrednim kontakcie... Stwierdziła, że jest wyższy, niż myślała, musiał mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Wielu mężczyzn w jego wieku zaczyna tyć, ale on z pewnością się do nich nie zaliczał. Spod zawiniętych rękawów koszuli widać było muskularne ramiona. Rysy miał niezbyt regularne, ale usta i broda znamionowały silny charakter, a zmarszczki wokół niebieskich oczu świadczyły o poczuciu humoru. Nie był szpakowaty, jego krótko ostrzyżone, gęste włosy miały niespotykany brązowy odcień.

- Dziękuję - powiedział Jack, spinając odcinek wpłaty i czek.

Podobały mu się jej włosy: jasnobrązowe, tak jasne, że niemal złociste. Były upięte w mały węzeł, z którego wysuwały się niesforne, lekko kręcone kosmyki. Reszta też była niczego sobie. Spodnie i sweter, cho-

ciaż luźne, zdradzały, że kryją się pod nimi ponętne krągłości. Z pewnością nie należała do kobiet, które są wiecznie na diecie i boją się porządnie najieść. W grubym, szarym golfie wypatrzył nitki włóczki w innych kolorach, takich samych, jakie można było dostrzec w orzechowych oczach jego właścicielki - niebieskim, zielonym, brązowym, rudym. Była wysoka i dyskretnie umalowana. Wprawdzie nie odznaczała się wielką urodą, ale w jej twarzy dostrzegł coś o wiele cenniejszego - poczucie humoru, inteligencję i szczerłość. Wszystko to sprawiało, że miał ochotę śmiać się bez żadnego szczególnego powodu.

Wpisał do pokwitowania niezbędne dane, wystukał polecenie „drukuj” i po raz pierwszy tego dnia elektroniczny mózg uczynił to, czego Jack pragnął - zapadł w letarg.

- Znów się zawiesił komputer - powiedział z udaną troską - ale za parę minut wszystko będzie w porządku. - Kilka chwil, które zyskał, postanowił dobrze wykorzystać. Nachylił się lekko. Owionął go słaby zapach, delikatny, świeży i słodki. - Czy mieszka pani w pobliżu Frost Road? - W adresie widniało Tijeras, była to niewielka miejscowość położona kilka kilometrów za Albuquerque, w długim wąwozie, biegnącym między dwoma łańcuchami górskimi na wschód od miasta. Fakt, że kobieta posiada dwu i pół-hektarową działkę, świadczył, że mieszka poza granicami Tijeras.

Potrząsnęła głową.

- Nie, mieszkam zaraz obok drogi międzystanowej, w małej dolince w połowie kanionu. - Właściwie, po-

myślała, określenia „nieregularne rysy” i „przystojny” wcale się nie wykluczają.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Nie mówi pani chyba o tym naprzeciwno Zuzax? Teraz z kolei zdziwiła się Claire.

- Właśnie o tym. Musiał się pan wychowywać w tych stronach. - Zuzax to była nazwa starej osady handlowej, stanowiącej kiedyś atrakcję turystyczną: „Przyjedź do nas, zobaczysz żywe grzechotniki! Pierścionki z prawdziwymi turkusami, tylko 99 centów!” Kilka lat temu osadę rozebrano i tylko ktoś, kto wychowywał się w Albuquerque, pamiętał jej nazwę, nie mówiąc już o tym, gdzie leżała. Nie wiedziała, dlaczego sprawiło jej przyjemność, że podobnie jak ona pochodził z tych stron, a nie był jednym z przybyśców, którzy zdominowali miejscową ludność.

Skinał głową.

- Urodziłem się w indiańskim rezerwacie. Mój ojciec pracował w tamtejszym szpitalu. - Jack zamilkł na chwilę, by nacieszyć się jej uśmiechem. - Chyba niełatwo się przeprowadzać w okresie przedświątecznym?

- Wcale sobie tego nie planowałam. Wystawiłam swój dom w mieście na sprzedaż i trzy dni później znalazł się kupiec. Właściwie przeprowadzka niezbyt utrudniła mi życie. Moja córka nie może przyjechać do domu na święta, więc nie muszę się martwić, czy zdążę wszystko rozpakować i poukładać - dodała.

Przez jej twarz przemknął cień smutku. Jack doskonale ją rozumiał.

- Mój syn też nie...

Komputer nagle ożył i drukarka zaczęła drukować. Jednocześnie podeszła do niego Donna Luria, kierowniczka biura.

- Jack, jest problem, uważam, że powinieneś się nim zająć.

Zerknął w kierunku, w którym patrzyła Donna, w stronę swego gabinetu, gdzie załatwiano nietypowe sprawy. Na szczęście nie było ich dużo, ale z miny Donny wywnioskował, że tym razem nie pójdzie tak łatwo. W drzwiach jego gabinetu stała starsza pani.

Claire również spojrzała w tamtym kierunku.

- Mamie? - zdziwiła się.

- Zna pani panią Bonnett?

Claire odpowiedziała z roztargnieniem:

- Od dawna... teraz jest moją sąsiadką. - Mamie miała osiemdziesiąt jeden lat, ale zawsze wyglądała o piętnaście lat młodziej. Teraz jednak ta wysoka kobieta jakby się skurczyła, jej twarz przypominała zmiętą chusteczkę, staruszka wodziła wkoło pustym, zagubionym wzrokiem.

Donna wykazała się niezwykłym refleksem.

- To dobrze, nie powinna być teraz sama. Wejście jest tam. - Drukarka się zatrzymała, Donna oderwała pokwitowanie i wyciągnęła je niczym marchewkę na kiju, by wskazać Claire drogę. - Jack, zastąpię cię przy okienku, żebyś mógł się zająć panią Bonnett - oświadczyła wspaniałomyślnie. Oparła ręce na kontuarze i radośnie spojrzała na długą, zakreconą kolejkę. - Następny proszę!

Jack poprosił obie kobiety do swego gabinetu i zamknął za nimi drzwi.

- Pani Bonnett, nazywam się Jack Herrod, jestem skarbnikiem okręgowym - przedstawił się i wskazał starszej pani krzesło obok biurka. Odwrócił się, by przysunąć krzesło dla Claire Ezrin, ale zobaczył, że już się obsłużyła. Usiadł za biurkiem. Claire ujęła Mamie Bonnett za rękę i popatrzyła na nią z niepokojem.

Po raz pierwszy spotkały się ponad dwadzieścia lat temu, kiedy Claire zdobywała kwalifikacje laborantki i dorabiała w klinice uniwersyteckiej, pobierając krew do analiz. Chlubiała się umiejętnością delikatnego wkłuwania w żyłę, póki nie skierowano jej na oddział pediatryczny. Po kwadransie z trudem się powstrzymywała, by nie rozpląkać się równie rzewnie, jak pochlipywały jej małe ofiary. Nie potrafiła sobie poradzić nawet z pobraniem kropli krwi z palca. I właśnie wtedy wkroczyła przełożona pielęgniarok, Mamie Bonnett. Rzeczowo, bez cienia upokarzającej protekcyjności, podzieliła się z nią swymi sztuczkami - kilkoma zabawnymi piosenkami odwracającymi uwagę małych pacjentów, wypchaną małpką Gooberem opowiadającą żarciki, oraz paroma łagodnymi chwytami uniemożliwiający ucieczkę przed ukłuciem igłą. Nazajutrz Claire przystąpiła do pracy z komikiem Eddiem Bisgettim i wściekle różowym boa-dusicielem. Szybko zapomniała, że chciała już zrezygnować z dyplomu laborantki i zająć się wyplataniem koszyków. Po ukończeniu szkoły podjęła pracę w tym samym szpitalu i spotykała się z Mamie regularnie, póki ta nie odeszła, by uczyć kolejne adeptki. Pocztą pantoflową dowiedziała się, że później Mamie zatrudniła się w żłobku - zdaniem pani Bonnett słowo „emerytura” należało

do najbrzydszych w języku angielskim - i że owdowiła. Odkrycie kilka tygodni temu, że Mamie będzie jej sąsiadką, było miłą niespodzianką.

- Mamie, co się stało? - spytała teraz łagodnie. Starsza pani potrząsnęła głową, wdychając ciężko.

- Och, Claire, narobiłam głupstw i teraz stracę swój dom.

Claire sama nie wiedziała, dlaczego odruchowo spojrzała na Jacka Herroda. Zobaczyła, że jest nie mniej zatroskany od niej.

- Co się stało, pani Bonnett? - spytał cicho. W jego głosie nie było śladu protekcyjnego tonu, jaki daje się usłyszeć u tych, dla których podeszły wiek jest synonimem niedołęstwa.

Mamie bez wahania zaczęła opisywać swoją sytuację, ale Claire czując, jak staruszka kurczowo ścisnęła ją za rękę, domyśliła się, że nie przychodzi jej to łatwo.

- Po śmierci męża stwierdziłam, że zlikwidował wszystkie nasze fundusze emerytalne i zainwestował pieniądze w jakiś stuprocentowo pewny interes prowadzony przez jednego z kolegów. - Smutno pokiwała głową. - Bardzo kochałam Leo, ale w kwestiach finansowych był skończonym głupcem. Miesiąc później firma zbankrutowała i wtedy znalazłam dokumenty, podpisane przez Leo, z których wynikało, że inwestorzy są osobiście odpowiedzialni za straty. Jego koleżka, chcąc ratować własną skórę, ogłosił bankructwo. Zdaje się, że powinnam zrobić to samo, ale przez całe życie cieszyłam się zaufaniem ludzi. Nie chciałam go zawieść, więc... - westchnęła głęboko - zaciągnęłam kredyt hipoteczny i zwróciłam pieniądze.

- I pani adwokat się na to zgodził? - spytał z niedowierzaniem Jack.

Mamie spojrzała na niego ponuro.

- Odradzał mi, ale wszystko skrupulatnie policzyłam i wiedziałam, że sobie poradzę. I radziłam sobie, póki - westchnęła zde gustowana - póki nie złamałam nogi.

- Złamałaś nogę? Kiedy? - przerwała Claire. Pośród tych wszystkich złych wiadomości ta ostatnia wydała jej się najgorsza. A Mamie oczywiście nigdy jej o tym nie wspomniała.

Starsza pani odwróciła się do niej i uspokajająco poklepała ją po dłoni.

- Cztery lata temu, kochanie. Teraz już wszystko w porządku. - Spojrzała na mężczyznę siedzącego za biurkiem. - Dzięki ubezpieczeniu społecznemu i rencie po Leo udało mi się spłacić ratę kredytu, ale zabrakło mi na podatek od nieruchomości. Nie wróciłam do pracy tak szybko, jak zamierzałam, a potem pracowałam tylko raz w tygodniu, więc w następnym roku też nie zapłaciłam podatku. W końcu znów zaczęło mi się udawać co miesiąc odkładać nieco grosza, ale za każdym razem, kiedy się wydawało, że wyjdę na prostą, pojawiał się jakiś inny pilny wydatek - a to nowy dach, a to samochód, a to wywiercenie studni. - Z irytacją wzruszyła ramionami. - I znów zostawałam bez centa. Kiedy w ubiegłym miesiącu zaczęłam pracować cztery razy w tygodniu - wciąż mam nadzieję, że wrócę do pracy na pełny etat - wiedziałam, że zdołam zapłacić zaległe podatki wraz z odsetkami i wreszcie będę na bieżąco. Urząd podatkowy sprawiał

wrażenie, jakby niezbyt się przejmował brakiem moich pieniędzy. Mniej więcej raz w roku otrzymywałam pismo, w którym mi przypominano, że zalegam z podatkiem, i to wszystko. Myślałam, że mam czas. A wczoraj dostałam ten list.

Mamie uwolniła dłoń z uścisku Claire i wyjęła z torebki zapisaną kartkę.

Słuchając rzeczowej relacji Mamie Bonnett o nieszczeniach, jakie ją spotykały przez ostatnie cztery lata, Jack czuł, że za chwilę poniosą go nerwy. Staruszka, która już dawno osiągnęła wiek emerytalny, powinna cieszyć się życiem, a nie martwić, czy uda jej się znaleźć pracę na pełny etat. Najwyraźniej nie należała do kobiet, które lubią cały dzień siedzieć w bujanym fotelu, ale przynajmniej powinna mieć taką możliwość. Jej adwokatowi należały się baty. Niełatwo przyszłoby mu odwieść swoją klientkę od tego, co postanowiła zrobić - była wyjątkową kobietą, nie rozczułała się nad sobą i nie załamała tym, co ją spotykało w ciągu ostatnich czterech lat. Ale od tego miała adwokata, by ją powstrzymywał od robienia głupstw. Poza tym żaden sędzia nie powinien się zgodzić na takie rozwiązanie. A co, u diabła, robiła jej rodzina? Nagle się zreflektował. Starsza pani nic nie mówiła na ten temat, ale był dziwnie pewny, że nie ma dzieci i najprawdopodobniej przeżyła swoje rodzeństwo. Zresztą nieważne. We dwojkę - on i Claire - muszą jakoś rozwiązać ten problem. Nawet nie zauważył, że uczynił z nich wspólników i że nie była już panną Ezrin, tylko Claire.

Uśmiechnął się patrząc, jak Claire czyta list. Pomógłby pani Bonnett bez względu na to, czy towarzy-

szłyby jej Claire, ale nie miał nic przeciwko temu, by popisać się przed nią, jak radzi sobie z tą sprawą. Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy Claire skończyła czytać i uniosła głowę.

- Pan to wysłał?

Powiedziała to spokojnie, ale nie dał się zwieść; była wściekła. Bez słowa wyciągnął rękę i wziął list. Zaczął go czytać, a podczas lektury czuł się coraz gorzej. Kilka miesięcy temu sekretarka pokazała mu wzory rozmaitych pism wysyłanych przez biuro skarbnika. To, które kierowali do osób zalegających z opłatami, wydało mu się niewystarczająco zdecydowane, polecił więc, by je przeredagowano. Chodziło mu jednak o stanowczość, a nie obcesowość. „Natychmiastowa konfiskata... eksmisja w ciągu trzydziestu dni...” Jednym słowem, pieniądze albo fora ze dwóra. Jack poczuł się jak czarny charakter z łzawego melodramatu. Tylko wcale nie było mu do śmiechu. Uważał się za winnego, nawet jeśli sam nie zredagował tego wezwania. Powinien wcześniej zapoznać się z jego treścią.

- Tak, ja - przyznał uczciwie.

Zanim zdążył dodać, że nie powinien do tego dopuścić, zerwała się na równe nogi.

- Pracowali tu ludzie podli, ale nigdy nikt aż tak podły jak pan!

Wstał i wyciągnął rękę, próbując nie dopuścić do siebie myśli, że cokolwiek powie, i tak już wszystko stracone.

- Panno Ezrin, pani Bonnett nigdy nie powinna otrzymać tego pisma. Proszę mi pozwolić wyja...

Nie słuchała go.

- Chodźmy stąd, Mamie. - Pomogła wstać starszej kobiecie. - Szkoda naszego czasu. - Obrzuciła go takim wzrokiem, że aż się skulił, jakby mu wymierzyła cios prosto w żołądek. Mamie Bonnett próbowała ją uspokoić, ale na próżno.

- Claire, pan Herrod robił tylko to, co do niego należało. Myślę...

- Tak? Do jego obowiązków nie należy wyrzucanie z domów biednych, starych wdów - nie obraż się, Mamie - i do tego tuż przed Gwiazdką! To biuro skarbnika okręgowego, a nie firma chciwych i bezwzględnych lichwiarzy.

- Wcale się nie gniewam, kochanie - wymamrotała Mamie, wyraźnie oszołomiona. Pozwoliła się wyprowadzić z gabinetu, jakby uświadomiła sobie, że ma do czynienia z niepowstrzymaną siłą natury. Zanim drzwi z trzaskiem się za nimi zamknęły, Mamie bezradnie spojrzała na Jacka.

Mężczyzna stał jak ogłuszony. Wtem drzwi znów się otworzyły i ukazała się w nich Claire.

- Muszę stwierdzić, że w pełni zasługuje pan na swoje nazwisko, panie Herrod.

Opadł na krzesło. Dobrze chociaż, że nie nazwała go królem.

Rozdział 2

- Poproszę placek orzechowy i kawę. - Claire zamknęła kartę.

Ołówek kelnera zawisł nad bloczkiem.

- Czy życzy sobie pani do kawy śmietankę?

- Tak, proszę.

Kelner zebrał menu i odszedł.

Claire spojrzała na Marty Cherpelis.

- Jak tam twoja dieta, Marty? - Zawsze na początku rozprawały się z tym tematem, by potem bez poczucia winy móc się najeść do syta.

- W zeszłym tygodniu w końcu zrzuciłam ostatnie pięć kilogramów, których mi brakowało do osiągnięcia celu. W tym tygodniu znów przytyłam. Powinnam zrobić to, na co ty zdecydowałaś się już kilka lat temu, i dać sobie spokój z tymi pięcioma kilogramami. Życie jest zbyt krótkie, by odżywiać się wyłącznie sałatą.

Claire przyłączyła się do chóralnego śmiechu. Dziewięć lat temu wszystkie cztery pracowały w laboratorium analitycznym przy klinice uniwersyteckiej i zdobyły sobie przydomek „wampirzyc”. Przepracowały razem zaledwie rok i ich drogi się rozeszły. Oczywiście obiecały sobie, że będą się kontaktować. Niezwykle w tym wszystkim było to, że rzeczywiście utrzymywały znajomość i w każdy drugi czwartek miesiąca

spotykały się w kawiarni. Rzadko kiedy nie mogły przyjść wszystkie cztery.

Zakończyły swoją coroczną sprzeczkę, czy do bizcochitos, ciasteczek pieczonych w Nowym Meksyku tradycyjnie na Boże Narodzenie, należy używać masła czy margaryny, mleka czy winiaku oraz czy anyżek powinno się dodawać bezpośrednio do ciasta, czy też aromatyzować nim mleko lub brandy. Chowwały do torebek drobne upominki, które nawzajem sobie wręczyły, kiedy pojawił się kelner z kawą i ciastkami.

- Czy któraś z was zna Mamie Bonnett? - spytała Claire.

Wcale się nie zdziwiła, gdy okazało się, że wszystkie ją znają.

- Dlaczego pytasz? - zainteresowała się Jeanne Minzner.

- Grozi jej eksmisja za niepłacenie podatków.

Zgodnym chórem zażądały bliższych wyjaśnień.

Claire opowiedziała im wszystko. Kiedy skończyła, Delia Lopez potoczyła wokół rozognionym wzrokiem.

- A to podlec! Jak mógł wysłać takie pismo?

Określenie to było nadzwyczaj celne, lecz kiedy Jeanne i Marty dodały swoje, równie mało pochlebne opinie, Claire ze zdumieniem odkryła, że broni Jacka.

- No cóż, sami go wybraliśmy, by zrobił porządek i zmusił do płacenia tych wszystkich, których jego poprzednik nie potrafił zdyscyplinować. Podejrzewam, że nawet nie wiedział, co podpisuje.

- Ale powinien wiedzieć! - oświadczyła Delia.

- Z całą pewnością - skwapliwie przyznała Claire,

chcąc zatrzeć wrażenie, że próbuje usprawiedliwić Jacka.

Po jeszcze kilku nieprzychylnych uwagach pod adresem Herroda rozmowa zesłała na temat przygotowań do świąt. Czwórka dzieci Jeanne i dwójka Marty zapowiedziały przyjazd. Dzieci Delii, chociaż dorosłe, nadal mieszkały z matką. Wspominała o tym coraz częściej i z coraz mniejszym entuzjazmem. Z nich wszystkich tylko Claire miała jedynaczkę i tylko jej córka nie mogła przyjechać... Zdusiła rodzące się w niej poczucie krzywdy.

Zresztą Jeanne dostarczyła jej nowego tematu do rozważań.

- Claire, jak rozwija się twoja znajomość z doktorem Swettem?

- Skąd wiesz o... - Claire urwała w pół zdania.

Jeanne, najstarsza z nich, od roku była na emeryturze, ale nadal doskonale się orientowała, co się dzieje w szpitalnych kręgach w Albuquerque. - Właściwie wcale nie zaczęliśmy się spotykać. Zaraz na początku dałam mu kosza.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona Marty. Ona, Jeanne i Delia były nadal żonami swych pierwszych mężów i jak wszystkie szczęśliwe mężatki uważały, że Claire powinna też kogoś poślubić.

Claire spojrzała na nie wyrozumiale.

- Ponieważ ma trzydzieści dwa lata. Już odchowalam jedno dziecko. Nie mam ochoty brać sobie na głowę drugiego.

Jeanne spojrzała na nią przerażona.

- Chyba mu nie powiedziałaś, ile masz lat, co? -

Jeanne właśnie po raz trzeci obchodziła sześćdziesiąte urodziny.

- Każdemu, kto by mnie spytał, powiedziałabym, że jestem bliżej czterdziestki niż trzydziestki - oświadczyła Delia. - Oczywiście nie wspomniałabym ani słówkiem, że najbliżej mi do pięćdziesiątki.

- A mnie jeszcze bliżej. - Claire uśmiechnęła się ponuro.

- A co myślisz o doktorze Cooterze? - Marty wróciła do zasadniczego tematu. - Jest niemłody, ale jeszcze nie osiągnął półmetka.

Delia prychnęła.

- Racja, lecz już świetnie widzi, co się znajduje po drugiej stronie góry.

- Mam! - wykrzyknęła triumfalnie Jeanne. - Doktor Richwine. Jest trochę nieokrzesany, ale zrobiłabyś z niego ludzi, Claire.

Ta sugestia została powitana gwizdami i buczeniem.

- Zlituj się, Jeanne - jęknęła Delia. - Wciąż nosi dzwony, modne w latach siedemdziesiątych.

- Poza tym - dodała Claire - wyznaję niezłomną zasadę: nigdy nie chodzić z facetem, który nosi dzinsy numer mniejszy od moich. - Pocziwy doktor grał Ichaboda Crane'a w „Legendzie uspiętej doliny”, wystawianej przez amatorski zespół teatralny. Rzadko kiedy aktor tak idealnie pasował do roli.

- Cóż, zawsze zostaje jeszcze Bobby Loftis - powiedziała złośliwie Jeanne, chcąc się odegrać. - Prawdopodobnie będzie dziś wieczorem na zabawie choinkowej i jestem pewna, że ci zaproponuje randkę, jeśli tylko trochę go zachęcisz.

- A nawet wtedy, kiedy go wcale nie będziesz zachęcała - dodała cierpko Delia. Trzykrotnie żonaty doktor Loftis podobno rozglądał się za czwartą żoną.

- A propos choinki - powiedziała Claire, spoglądając na zegarek. - Muszę się już zbierać. Zacznie się za niespełną godzinę.

- Jestem pewna, że znajdziemy ci odpowiedniego kandydata na męża - powiedziała Marty, nie poddając się. - Zastanówmy się, jaki powinien być?

Claire z rozbawieniem przysłuchiwała się, jak we trójkę wyliczały:

- Uczciwy, prostolinijny i oczywiście wierny.

- Z poczuciem humoru.

- Pogodny i pracowity.

- Niezależny finansowo.

- Jeśli ma dzieci, powinny być już dorosłe i usamodzielnione - wtrąciła, jak łatwo się domyślić, Delia.

- A co z urodą? - przypomniała Jeanne.

Marty lekceważąco machnęła ręką.

- Ale musi mieć włosy - oświadczyła Delia. Jej mąż głośno i żałośnie oplakiwał utratę swoich.

- I naładowany akumulator - dodała poważnie Marty.

- Będą też musieli zawrzeć intercyzę - przypomniała Jeanne. - Claire powinna się zabezpieczyć.

- Nie wiem. - Zastanowiła się. - Mam mieszane uczucia w kwestii kontraktów przedmażeńskich.

Z jednej strony przyznaję, że są potrzebne, ale z drugiej wygląda to tak, jakby się nie wierzyło w trwałość związku, zanim się jeszcze powiedziało „tak”. I szczerze mówiąc, mniej mnie interesuje zabezpieczenie od

strony finansowej niż zobowiązanie na piśmie, że mój wybrany pomaluje dom, będzie pracował w ogrodzie i wniesie w posagu narzędzia.

Kiedy przestały się śmiać, dodała:

- Cóż, jeśli znajdziecie kogoś takiego, dajcie mi znać. Zanim umrę, chciałabym stracić głowę z miłości
- zażartowała.

Taka wizja wydała jej się niezwykle pociągająca i poruszająca wyobraźnię. Doszła do wniosku, że chyba potrzebny jej psychiatra.

Jack zamknął drzwiczki swojej szafki.

- Gdzie wybieracie się z Carole na narty?

Bobby Loftis zatrzasnął szafkę.

- Nigdzie nie wyjeżdżamy.

Jack ze zdumieniem spojrzął na swego najlepszego przyjaciela.

- Co się stało? Myślałem, że to coś poważnego. Bobby wzruszył ramionami, wpychając do torby rękawicę baseballową.

- Nie wiem. Ostatnio coś mi nie wychodzi z kobietami.

- Ledwie którą zaliczysz, zaraz ucieka? - spytał złośliwie Jack.

Bobby spojrzął na niego zdegustowany.

- Tak. - Zamknął torbę i ruszył w kierunku drzwi.

- Nie rozumiem tego, Jack. Kobiety twierdzą, że chcą facetów przystojnych, męskich i inteligentnych, a w rzeczywistości szukają kogoś, kto by je kochał, szanował i się o nie troszczył.

Jack otworzył drzwi do sali gimnastycznej.

- W większości wypadków to jeden i ten sam facet
- zauważył.
- Tak - przyznał ponuro Bobby, lecz po chwili się rozchmurzył. - Ale wiesz co, Jack, ja się nie zmienię. Wcześniej czy później kobiety znów zatęsknią za samolubnymi, brutalnymi męskimi szowinistami.

Jack klepnął przyjaciela w ramię i roześmiał się.

- Myśl tak dalej, Bobby.

Bobby też się roześmiał.

- A co u ciebie? Jakie masz plany na święta?
- Jadę do siostry do Gallup.

Bobby zerknął na niego spod oka.

- Nie spędzisz Gwiazdki z Marcia Teakle?
- Spotkaliśmy się kilka razy. - Jack wzruszył ramionami. - Ale nic z tego nie wyszło.

Bobby spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Przecież jest mądra, ładna, zgrabna, zadbana...
- No właśnie. Nie wygląda na kogoś, kto pozwoliłby się trochę potargać.

Bobby roześmiał się lubieżnie.

- Chodzi nie tylko o to, Bobby. Sprawia wrażenie, jakby nigdy nie ubrudziła sobie rąk, nie mówiąc już o reszcie. Żadnych biwaków, żadnego autostopu, żadnej pracy w ogródku... nie umyłaby nawet samochodu.

- Przesadzasz, Jack. Stałeś się strasznie wybredny.
- Wcale nie jestem wybredny - zaprzeczył z oburzeniem. - Szukam kobiety, której nie przeszkadza, jeśli od czasu do czasu się ubrudzi. - Zastanowił się.

- I takiej, która w kuchni korzysta nie tylko z kuchenki mikrofalowej.

- I kto tu jest męskim szowinistą? - Bobby śmiejąc

się spojrzął na zegarek. - No, muszę już iść na zabawę choinkową. - Popatrzył uważnie na Jacka. - Masz dzisiaj wolny wieczór, prawda?

Jack spojrzął na niego podejrzliwie.

- Dlaczego pytasz?

- Wyświadczyć mi przysługę. To potrwa góra pół godziny. - Kłamstwo w dobrej sprawie nie jest kłamstwem, usprawiedliwił się w duchu Bobby.

- Nie mogę uwierzyć, że dałem ci się na to namówić. - Jack bez powodzenia próbował powstrzymać się od kichnięcia.

- Zupełnie, jakbym słuchał pękniętej płyty - mruknął Bobby, rozsmarowując mu klej na czole. - Nie wierć się, do cholery. - Przycisnął krzaczastą, siwą brew, a potem szarpnął, by sprawdzić, czy się mocnotrzyma.

- Auu! Do diabła, chcesz mi oderwać połowę twarzy? A właściwie co to za świństwo? - Spojrzął podejrzliwie na Bobby'ego. - Mam nadzieję, że łatwo się zmywa? Ghyba nie będę musiał przez najbliższe pół roku paradować w tej cholernej brodzie?

- Naprawdę, Herrod, nie przypuszczałem, że jesteś taki marudny. - Bobby z niezadowoleniem potrząsnął głową, przyklejając drugą brew, a potem wziął czerwoną czapkę z przymocowaną do niej białą peruką.

- Nie ruszaj się! - polecił, wkładając mu ją na głowę. Jack wiał się, próbując złagodzić gwałtowne swędzenie.

- Nie mogę. To cholerne przebranie nie tylko śmierdzi, ale jest też zapchlone.

- Nie jest zapchlone, tylko cuchnie naftaliną. Siedź

spokojnie - mruknął Bobby. Ignorując potok przekleństw, tłumiony przez siwą brodę, poprawiał czapkę, póki nie uznał, że trzyma się na głowie Jacka idealnie prosto. Następnie zwichrzył długie, siwe loki i cofnął się o krok. - Gotowe. Lepiej się nie da. - Tonem dawał do zrozumienia, że mogłoby być lepiej, gdyby miał do czynienia z odpowiedniejszym modelem.

Jack podniósł się z krzesła i szurając nogami, podszedł do małego lustra, wiszącego nad umywalką. Przekrzywił czapkę trochę na lewą stronę, a potem na prawą.

- Przestań! Zniszczysz sobie fryzurę! - Bobby chwycił go za rękę. Jack w niepochlebny sposób wyraził się o przodkach przyjaciela, czym go serdecznie rozbawił. - Wstydź się, Jack - zbeształ go. - Święty Mikołaj nie używa takich słów. - Drzewo genealogiczne Bobby'ego wzbogaciło się o Świętego Mikołaja i Bobby wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego ty nie możesz być Świętym Mikołajem - zrzędził Jack, człapiąc do wyjścia.

- Powiedziałem ci. Zawsze robię hot dogi. To sztuka przyrządzić dobrego hot doga. Przykro mi, Jack, ale brak ci tej umiejętności - łagodnie wyjaśnił Bobby.

Jack zawadził wypchanym brzuchem o szczotkę. Złapał ją i cisnął w kierunku swego niedawnego najlepszego przyjaciela.

- Powinieneś się zdecydować na ten trzeci jasek - powiedział Bobby, robiąc unik. Jack warknął gniewnie. - No dobrze już, dobrze - oświadczył pojednaw-

czo, próbując stłumić śmiech. - Widzę, że nie przywiązujesz wagi do swego wyglądu.

Claire rozejrzała się po odświętnie udekorowanej sali i spojrzała na dzieci czekające na Świętego Mikołaja. Przez prawie dwadzieścia lat misiwaty doktor Daniel Minzner, mąż Jeanne, cudowny człowiek, występował na ich zabawach choinkowych w roli Mikołaja. Córka Claire, Emma, ubóstwiała siadać doktorowi Danowi na kolanach, nawet kiedy już przestała wierzyć w Świętego Mikołaja i przychodziła na zabawy tylko dla tradycyjnych pończoch wypchanych słodyczami i drobnymi upominkami oraz hot dogów.

A wszystko zaczęło się wtedy, kiedy doktor. Dan po raz pierwszy przebrał się za Mikołaja. Para dzieciaków, chcąc zaimponować kolegom i koleżankom, oświadczyła, że Święty Mikołaj nie istnieje. Maluchy się bardzo zdenerwowały, niektóre zaczęły płakać. Trzeba było coś szybko przedsięwziąć. Ktoś wpadł na pomysł, żeby niektórzy spośród dorosłych też usiedli Mikołajowi na kolanach. Dzieci przekonają się wtedy, że nawet dorośli wierzą w Świętego Mikołaja. Żaden z mężczyzn się na to nie zdobył, ale znalazło się kilka odważnych kobiet. Z czasem stało się to nieodłącznym elementem dorocznej zabawy choinkowej. Doktor Minzner był człowiekiem niezwykle dobroci i traktował choinkę jako swego rodzaju okazję do sprawdzenia, czy wszystko w życiu żeńskiej części personelu układa się jak należy. W razie potrzeby próbował pomóc, przynajmniej dobrym słowem. Zagorzałe feministki z pewnością uznałyby te rozmowy za uwłacza-

jące, ale Claire się tym nie przejmowała. Znajdowała w nich coś dziwnie słodkiego i pocieszającego. Czuła się tak, jakby znów stała się dziewczynką: wystarczyło wyznać mężczyźnie w czerwonym płaszczu swe najskrytsze marzenie, wierząc niezachwianie, że to, czego się pragnęło, znajdzie się pod choinką.

Chociaż wcześniej zjadła placek i wypila kawę ze śmietanką, doszła do wniosku, że ma jeszcze miejsce na dwa hot dogi. O Bobbym Loftisie można było mówić różne rzeczy, ale trzeba przyznać, że był mistrzem w przyrządzaniu hot dogów. Znalazła wolny stolik. Po chwili przysiadła się do niej Suzi Komadina, koleżanka z pracy.

Ostatnie dziecko skończyło rozmawiać ze Świętym Mikołajem, akurat kiedy Claire zjadła drugiego hot doga. Wcale nie speszona uczestnictwem w kolejnym punkcie programu, ale niekoniecznie pragnąc być pierwsza, zaczęła, aż podniesie się ktoś inny. Widząc, że nikt z dorosłych specjalnie się nie kwapi, wstała od stolika.

- Idę porozmawiać ze Świętym Mikołajem.

Suzi spojrzała na nią zdumiona i mruknęła coś pod nosem, ale ponieważ miała usta pełne jedzenia, Claire nie zrozumiała.

- Zaraz wracam.

Jack postanowił posiedzieć jeszcze minutę czy dwie, aby się upewnić, że podeszły do niego wszystkie dzieci. Za żadne skarby nie przyznałby się Bobby'emu, że z przyjemnością grał rolę Mikołaja. Odwrócił głowę, bo poczuł, że znów kręci go w nosie. Och, ta cholerna broda.

- Na zdrowie!

Kiedy się ponownie odwrócił, na kolanach siedziała mu Claire Ezrin.

Zauważył ją, jak tylko weszła na salę. Poprosił ją o coś, by powiedział panu robiącemu hot dogi że Święty Mikołaj chce niezwłocznie zamienić z nim kilka słów. Bobby potwierdził, że Claire pracuje w szkole, a nawet należy do kierownictwa. Spojrzenia, które mu posyłała, były niezwykle życzliwe. Nieśmiało zakiełkowała w nim nadzieja, że już się na niego nie gniewa, ale nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że usiądzie mu na kolanach. Bobby napomknął, że zawsze kilka kobiet rozmawia ze Świętym Mikołajem, i Jack zastanawiał się, co za grę prowadził stary doktor. Bobby zapewnił go, że ich Mikołaj jest raczej ukochanym wujaszkiem niż żartownisiem. Obiecał, że uprzedzi wszystkich, że w tym roku to nie doktor Dan wcielił się w dobrotliwego brodacza.

W takim razie co robiła na jego kolanach Claire? Doszedł do wniosku, że lepiej nic nie mówić niż ryzykować jej ponowny gniew, i czekał, co mu powie. Poza tym miał ważniejszy problem. Kiedy Claire usiadła mu na kolanach, przytrafiło mu się coś, co ostatni raz spotkało go, gdy miał szesnaście lat: spontaniczna reakcja organizmu, której, szczerze mówiąc, nie spodziewał się nigdy więcej doświadczyć. Był bardziej niż szczęśliwy, że się mylił, ale jednocześnie zastanawiał się, czy rzeczywiście nie byłoby lepiej zdecydować się na ten trzeci jasek.

- Jeanne powiedziała mi, że ma pan zapalenie krta-
ni i bałam się, że nie uda się panu przyjść, panie do-

ktorze. Bez pana nasza zabawa choinkowa nie byłaby taka udana jak zawsze. - Claire ścisnęła mu ramię. Musi być przepracowany, pomyślała machinalnie; zupełnie stracił swoją misiowatość. Zabawne, że Jeanne o tym nie wspomniała. - Czy dzieci bardzo pana zmęczyły? - spytała współczująco.

Potrząsnął głową, mrużąc coś pod nosem. Wyłowiła tylko dwa słowa, ale nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Coś jakby „żart” i „włosy”.

- Och, wśród malców zawsze się znajdzie jakiś mądrała dowcipkujący na temat pana włosów - powiedziała, klepiąc go w kolano.

Znów lekko się wzdrygnął, jak wtedy gdy go objęła. Pomyślała, że powstrzyma się od kolejnego kichnięcia; broda zawsze sprawiała, że kręciło go w nosie. Chciał coś powiedzieć, ale delikatnie mu przerwała.

- Proszę pozwolić, że teraz ja będę mówiła, a pan sobie odpocznie. Kupiłam nowy dom. Pokażę panu zdjęcia, kiedy przyjdzie pan do nas z wykładem. Emma nie może przyjechać na święta, ale odwiedzi mnie w przyszłym miesiącu. - Roześmiała się. - Może do tego czasu uda mi się rozpakować.

Chłonał jej radosny śmiech. Może lepiej, że go nie rozumiała. Miał przeczucie, że gdyby jej teraz wyjawiał prawdę, zerwałaby się jak oparzona, prychając niczym rozzłoszczona kotka, i dzieciaki dziwiłyby się, czemu ta pani jest taka zła na Świętego Mikołaja. Prawdopodobnie bardzo szybko się dowie, że rozmawiała z zastępcą. Na szczęście Bobby obiecał, że nikomu nie zdradzi jego nazwiska, więc nie będzie tak zażenowana - czy wściekła - jak mogłaby być. W końcu będzie

się musiał do wszystkiego przyznać, ale jeszcze się zastanowi, jak i kiedy to zrobi.

- Przypomnijmy sobie, o co mnie pan zawsze pyta? - Claire zamilkła na moment i bezwiednie obciągnęła sukienkę. Świętemu Mikołajowi znów zebrało się na kichanie. - Nie, nie znalazłam jeszcze mężczyzny swego życia. Nie mam nawet nikogo na tymczasem.

O Boże, jeśli teraz wyjdzie wszystko na jaw, zdrowo oberwie. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że cholernie się ucieszył, słysząc, że Claire z nikim się nie spotyka.

- Problem nie w tym, by znajomi mężczyźni nie silili się na romantyczne gesty, ale sama mogę sobie kupować kwiaty i fundować kolacje. - Uśmiechnęła się rozmarzona. - Wie pan, co byłoby prawdziwie romantycznym gestem? Wymiana wyłącznika w mojej suszarce. - Wydał jakiś pomruk, który skłonił ją do ponurego uśmiechu. - Wiem. To moja wina, a nie ich. Potrzebuję kogoś, kto razem ze mną krzątałby się po domu, wybrał się na spacer w góry, posiedział na ganku... no wie pan, kogoś na dobre i złe. - Spojrzała na niego spod oka. - Chyba nie jestem stworzona do przelotnych romansów.

Claire przyjrzała się uważniej mężczyźnie i nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Biedny doktor Dan był taki zmęczony, że nie mógł utrzymać prosto głowy; nawet nie widziała jego oczu. Ręce wisały mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Nic dziwnego, tylu dzieciakom pomagał dziś wdrapać się na kolana, a potem je zsadzał, wcześniej mocno uściskawszy. Mięśnie nóg miał napięte z wysiłku.

- No cóż, muszę wracać do domu i wziąć się do

rozpakowywania kartonów - powiedziała. - Pan też powinien już iść do domu, pozwolić, by pani Mikołajowa przygotowała panu gorący poncz i położyła do łóżka. - Pochyliła się i cmoknęła go w policzek. - Wesolych Świąt. - Przez tę krótką chwilę znalazła się wystarczająco blisko, by zobaczyć jego rzęsy. Nie były krótkie, sztywne, siwe, jak u doktora Dana, tylko długie, ciemne, jedwabiste...

- To pan! - zawołała i podskoczyła.

Silne ramię objęło ją w talii i mocno przytrzymało.

- Chce się pani tłumaczyć przed dwoma tuzinami dzieciaków, dlaczego krzyczy na Świętego Mikołaja? - wymamrotał.

- Wcale nie miałam zamiaru krzyczeć - odparła z całą godnością, na jaką potrafiła się zdobyć. - Ale co pan tu...

- Doktor Minzner jest wciąż chory i Bobby Loftis prosił, bym go zastąpił - wyjaśnił półgłosem. - Nie miałem pojęcia, że pani tu będzie i zapragnie porozmawiać ze Świętym Mikołajem.

- Bobby Loftis? Powinnam się była domyślić, że się znacie - szepnęła zjadliwie. W jego niebieskich oczach migotały zielone iskierki. Zła na siebie, że je dojrzała, oczywiście wyłącznie dlatego, iż dotykali się niemal nosami, próbowała się podnieść. Zwolnił uścisk na tyle, by mogła się nieco odsunąć, ale nie pozwolił jej wstać. - Dlaczego od razu się pan nie przedstawił?

- Próbowałem, dwa razy, jeśli pani pamięta, ale każała mi pani milczeć. Potem się bałem, że jeśli powiem, zrobi pani dokładnie to, co próbowała pani uczynić przed chwilą, więc postanowiłem trzymać język za zę-

bami, mając nadzieję, że przy odrobinie szczęścia nie zostaną rozpoznani.

- No cóż, ty oszuście, szczęście ci nie dopisało. A teraz zabieraj swoje wstrętne łapska, ty... ty podlec!

Posłuchał. Claire szybko wstała i odeszła. Jack pomyślał z podziwem, że jest kobietą, do której zawsze musi należeć ostatnie słowo.

RS

Rozdział 3

Claire obserwowała, jak białe mydło w jej rękach robi się czarne. Czyszczenie kominów nie było takie trudne, jak się obawiała, ale należało do bardzo brudnych prac.

Usłyszała, że ktoś dzwoni do drzwi, prawdopodobnie od dłuższego czasu. Wycierając dłonie w papierowy ręcznik, pobięła otworzyć.

Na progu ujrzała Mamie, która już zamierzała odejść.

- Cześć, Mamie. Na pewno wpadłaś, bo zobaczyłaś mnie na dachu wystrojoną tak szykownie, że postanowiłaś się dowiedzieć, gdzie kupuję swoje kreacje. - Włosy sterczały jej spod czapki z daszkiem niczym macki meduzy, a stare sztruksowe spodnie i bluza były w oplakany stanie.

Mamie Bonnett obrzuciła ją zdumionym wzrokiem, a potem wybuchnęła śmiechem. Claire dostrzegła przed domem Mamie wielką, srebrzystą furgonetkę z napędem na cztery koła.

- Czyj to samochód?
- Mój - wyjaśnił Jack Herrod, wyłaniając się zza węgła. - Nie otwierała pani, więc próbowałem dostać się tylnym wejściem - wyjaśnił.

Już chciała go zapytać - zgryźliwie, oczywiście -

czy przyszedł obejrzyć dom, na który władze okręgu chciały położyć swoje wstrętne łapska, ale dostrzegła, że przygląda się jej niepewnie, jakby właśnie spodziewał się takiego pytania. Mamie również spoglądała na nią z niepokojem. Claire zrobiło się wstyd, że w jakiś sposób mogłaby przysporzyć starszej pani dodatkowych trosk.

Jack był ubrany podobnie jak ona, w typowy weekendowy strój - stare džinsy, kraciatą koszulę, adidas i czapkę z daszkiem, tylko wszystko było czyste i lepiej leżało. Machinalnie zmierzyła go spojrzeniem. Znacznie lepiej. Nagle Claire zrobiło się głupio, ale nawet jeśli dostrzegł jej zmieszanie lub usłyszał uwagę, którą rzuciła otworzywszy drzwi, nie dał tego po sobie poznać. Stał z kamienną twarzą, chociaż przed chwilą kąciki ust lekko mu drgnęły. Przyglądała mu się badawczo, ale nie dostrzegła teraz niczego podejrzanego.

Mamie wyraźnie się odprężyła, on też, troszeczkę.

- Claire, Jack przyszedł mi poradzić, co według niego powinnam zrobić w obecnej sytuacji.

Claire z wyraźnym trudem oderwała wzrok od mężczyzny.

- Pomyślałam, że może chciałabyś posłuchać - powiedziała Mamie.

A więc już został „Jackiem”?

- Naturalnie - odparła, obrzucając go niechętnym spojrzeniem.

W chwilę później kroczyli na przełaj przez łąkę oddzielającą oba domy. Mamie szła w środku. Claire zauważyła, że mężczyzna dyskretnie ujął starszą panią

pod rękę, kiedy przechodzili przez wyschnięty strumyk, pełen otoczków i konarów, naniesionych przez ostatnią powódź. Gdy dotarli do domu, który Mamie i Leo zbudowali wkrótce po ślubie, Claire przystanąła na moment, by otrzepać sadze z dżinsów. Nie uszło jej uwagi, że Jack, przekraczając próg, ściągnął czapkę i wsunął ją do kieszeni spodni. W dzisiejszych czasach rzadko który mężczyzna o tym pamiętał. Podejrzewała, że są tacy, co nie zdejmują jej nawet w łóżku.

Mamie zaprowadziła gości do pokoju, a sama udała się do kuchni zaparzyć kawę. Starając się nie zwracać najmniejszej uwagi na Jacka, Claire bacznie rozglądała się po pokoju, chociaż w ciągu ostatnich tygodni przychodziła tu nieraz. Ale teraz dostrzegła coś, co powinna zauważyć już wcześniej - stało w nim znacznie mniej mebli, niż można by się spodziewać w pomieszczeniu tej wielkości. Spojrzała w stronę jadalni i pomyślała, że mały stolik i cztery krzesła bardziej pasowały do aneksu jadalnego niż tutaj.

- Zdaje się, że tam stał kredens.

Usłyszała, że Jack coś mruknął i zwróciła spojrzenie na niego. Wpatrywał się w ten sam ciemniejszy kwadrat na ścianie jadalni.

- Albo serwantka - dodała cicho. - Widzę, że zniknęło trochę mebli.

Oboje przyglądali się kilkunastu ciemniejszym pląmom na ścianach i drewnianej podłodze, w miejscach, gdzie dawniej stały meble. Świąteczne dekoracje sprawiały, że pokój wydawał się jeszcze bardziej pusty. Słyszac, że Mamie wciąż krząta się w kuchni, Claire wsta-

ła. I szybko przeszła przez pokój, by rzucić okiem na hol, a potem sypialnię.

- W holu i sypialni też - zauważyła cicho, wróciwszy do salonu.

Mamie wkroczyła z tacą, naląła gościom kawę i usiadła obok Claire na wytartej kanapie. Claire doszła do wniosku, że temat mebli, które zniknęły, jest zbyt osobisty, by o nim mówić, póki Mamie sama go nie poruszy, ale Jack Herrod nie miał takich skrupułów.

- Mamie, co się stało z resztą pani mebli?

- Sprzedałam je, gdy złamałam nogę i nie mogłam od razu wrócić do pracy. W większości były to antyki i dostałam za nie dobrą cenę - stwierdziła rzeczowo.

Claire dostrzegła, że Jack zacisnął mocno usta, aż utworzyły cienką, prostą linię, i doznała wstrząsu. Uważała go za przystojnego mężczyznę. Teraz uświadomiła sobie, że jest przystojnym twardym facetem. Był jeszcze bardziej zły od niej, że starsza pani musiała sprzedać meble.

Mamie dopiła kawę i odstawiła filiżankę na tani stolik, stojący między kanapami.

- No, dobrze. Nie ma sensu dłużej tego odwlekać, Jack. Niech już usłyszę tę złą wiadomość.

Zniknęła gdzieś przerażona, drżąca staruszka, którą Claire ujrzała w gabinecie Jacka. Mamie znów była silną, dzielną kobietą, gotową stawić czoło wszystkim przeciwnościom losu.

Jack również odstawił filiżankę.

- Biorąc pod uwagę pani sytuację, oczywiście nie ma mowy o żadnej eksmisji, a naliczone odsetki i kary

umowne zostały umorzone. Zalega pani tylko z podatkiem, wydłużyliśmy termin spłaty...

- Nie „my”, tylko pan - przerwała mu Mamie. - Właśnie w taki sposób pana poprzednik popadł w tarapaty - powiedziała poważnie. - Ale nawet jeśli to, co pan proponuje, jest możliwe z punktu widzenia prawa, nie mogę przyjąć pańskiej oferty. Nie potrzebuję niczyjej łaski. Zalegam z podatkiem i zapłacę wszystko, łącznie z odsetkami i karami.

- Mamie - wtrąciła Claire. - To nie żadna łas... Staruszka gestem dłoni nakazała jej milczenie.

- Claire, wiem, dlaczego znalazłam się w tarapatkach. Przez swoją głupią dumę. Ale jestem już za stara, by się zmienić. Mam inną propozycję - zwróciła się do Jacka. - Jeśli wstrzyma się pan z eksmisją... - wzięła głęboki oddech - sama znajduje kupca na dom.

Claire wymieniła z Jackiem spojrzenia, Ach, więc i dla ciebie jest już „Jackiem”, tak? — zgaśniła się w duchu.

- To rozwiązałoby pani problem - przyznał. - Uzyskałaby pani ze sprzedaży dość pieniędzy, by spłacić kredyt i uregulować zaległe podatki.

Claire patrzyła na niego z niedowierzaniem. Miała ochotę dać mu porządnego kuksańca w bok. Już otworzyła usta, by się sprzeciwić, kiedy Jack nakazał jej wzrokiem milczenie. Nie miała powodu mu ufać - przypomniała sobie zabawę choinkową dla dzieci - ale nie odezwała się ani słowem.

- Jeśli jednak sprzeda pani dom - ciągnął - stanie pani przed nowym problemem. Nie będzie pani miała dachu nad głową.

- Przeprowadzę się do miasta. Zresztą już dawno powinnam się go pozbyć. - Lekceważąco machnęła ręką na dom, w którym spędziła czterdzieści lat życia, ale głos jej nieco zadrżał.

- Rozumiem. - W jego tonie było samo współczucie. - Stał się za duży, prawda? Za dużo pokoi do sprzątanania, za duży ogród do pielęgnowania, tak?

- Tak... nie, do cholery! - Mamie spojrzała na nich kompletnie załamana. - Ale cóż innego mi pozostaje?

Claire poczuła, że szczypią ją oczy. Niech już wreszcie Jack powie, do czego zmierza.

- Może się pani zdecydować na dożywocie. Słyszała pani o czymś takim?

Mamie wolno skinęła głową.

- Claire przyniosła mi ulotkę. Ktoś, zazwyczaj towarzystwo, dobrotczyne, w zamian za przeniesienie prawa własności pozwala właścicielowi mieszkać w domu, co miesiąc wypłacając mu rentę. Doszłam jednak do wniosku, że nie wystarczy mi to na spłatę kredytu i jeszcze podatków.

- Rozmawiałem z dwoma ewentualnymi pożyczkodawcami i okazuje się, że sprawa wcale nie wygląda tak beznadziejnie. Oczywiście nie otrzyma pani pieniędzy do ręki, bo zostaną przeznaczone na spłatę pożyczki, ale starczy ich na pokrycie wszystkich należności. - I czy jej się to podoba, czy nie, nie zapłaci kar ani odsetek od zaległych podatków. - Instytucja dobrotczyna będzie płaciła bieżące podatki i zajmie się wszelkimi większymi remontami.

Claire i Mamie spojrzały na siebie. Czy to możliwe, by wszystko okazało się takie proste? Nagle na twarzy

Mamie pojawił się promienny uśmiech. Kobieta objęła Claire i uściśliła ją mocno.

- Och, Claire, nie stracę swego domu!

Claire dyskretnie pociągnęła nosem i przytuliła starszkę.

- Nie, Mamie, nie stracisz.

Nadal była nieco oszołomiona, ale Mamie najwyraźniej nie podzielała jej obaw. Skoczyła jak dzierlatka i zanim Jack się zorientował, objęła go mocno, niemal dusząc.

- Dziękuję panu, Jack. - Pocałowała go w policzek. - To najpiękniejszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostałam. - Znów go uściśliła.

Wzrok Claire i Jacka spotkał się nad głową Mamie. Claire uśmiechnęła się niepewnie. Godzinę temu wiedziała dokładnie, co o nim myśleć, ale teraz... Teraz już nie była taka pewna.

W końcu Mamie puściła Jacka i pozwoliła mu wstać.

- Nie wiem, jak panu powiedzieć, ile to dla mnie znaczy - oświadczyła. - Ani jak dziękować.

Łagodnie ujął jej dłoń.

- Powiem pani jak. Jeśli kiedykolwiek znów znajdzie się pani w tarapatkach, proszę przede wszystkim zadzwonić do mnie. Obiecuje pani? - spytał poważnie.

Mamie spojrzała na niego uroczyście.

- Obiecuje.

Puścił jej ręce. Starszą panią rozpieierała taka radość, że zaczęła tańczyć wokół stołu. Nagle przystanąła i klasnęła w dłonie.

- Jestem głodna. Kto ma ochotę na lunch?

Jack skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

- Dziękuję, ale muszę iść do domu i doprowadzić się do porządku - powiedziała Claire, spoglądając na siebie. Zapomniała, jak wygląda. Kiedy uniosła głowę, ujrzała tuż przed sobą roześmiane, niebieskie oczy.

- Jesteś pewna? - dopytywała się Mamie.

- Tak - oświadczyła Claire, kierując się w stronę drzwi.

- Kiedy pani będzie szykowała lunch, ja rzucę okiem na pani samochód. Może uda mi się dojść, czemu sprawia kłopoty przy zapalaniu - usłyszała za sobą głos Jacka.

Po chwili był tuż za nią. Nagle się zatrzymał.

- Co to jest? — spytał cicho.

Claire zorientowała się z tonu jego głosu, że zwraca się do niej, a nie do Mamie. Początkowo udawała, że nie usłyszała, ale potem pomyślała, że to dziecinne - a ona naturalnie nigdy nie zachowuje się dziecinnie - więc odwróciła się, by zobaczyć, co go tak zainteresowało.

- A, to stare obligacje, które Mamie odziedziczyła po wuju. - Roześmiała się krótko. - Oprócz nich na jego majątek składała się pamiątkowa łyżeczka z Wystawy Światowej w St. Louis z 1904 roku. Władze okręgu wypuściły obligacje, kiedy Nowy Meksyk nie był jeszcze stanem. Są oczywiście bezwartościowe, ale - dotknęła palcem ramki, w którą oprawiony był pergamin ze starannie wykaligrafowanym tekstem i eleganckimi pieczęciami - są takie śliczne, że je kazała umieścić za szkłem.

Claire sięgała akurat po papierowy ręcznik, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Miała nadzieję, że to przyszła Mamie podzielić się z nią kolejnymi szczegółami, jakich dowiedziała się od Jacka Herroda na temat ratowania domu. Otworzyła drzwi i ujrzała nie Mamie, ale Jacka we własnej osobie. W ręku trzymał słoik wielkich, dorodnych, czarnych oliwek.

- W sklepie nie mieli gałązek oliwnych.

Claire w milczeniu gapiła się na słoik, a po chwili przyjęła go z uśmiechem.

- Chyba powinnam zwrócić połowę ceny.

Jack najwyraźniej nie zamierzał odejść. Obracała słoik w dłoniach, co świadczyło, że jest trochę zdenerwowana. Nie wiedział, czy to dobry znak.

- Właśnie miałam parzyć herbatę. Napije się pan? Nie znosił herbaty, ale teraz nie była odpowiednia pora na grymasy.

- Z przyjemnością.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał po wejściu do sieni, był miedziany pojemnik z kwiatami, stojący na staroświeckiej umywalce. Kwiaty były prawdziwe, nie sztuczne. Nad umywalką wisiały na czerwonej wstążce, rozciągniętej niczym sznur do suszenia bielizny, kartki świąteczne. Z sieni przechodziło się prosto do pokoju; długi korytarz z prawej strony prowadził do sypialni, a krótszy z lewej strony do kuchni.

- Nie musiał pan przynosić oliwek. Wystarczyło to, co zrobił pan dla Mamie.

Nie widział twarzy Claire, ale z jej tonu wywnioskował, że już się nie gniewa.

- Tamto było dla Mamie. Oliwki są dla nas.

Ach tak? Nie było żadnych „nas”, ale i tak jej ciało przebiegł przyjemny dreszczyk.

- Na pewno ma pan ochotę na herbatę? Mogę przyrządzić coś innego.

Claire odwróciła się i zauważyła, że Jack wetknął czapkę do kieszeni spodni. Znow się zastanawiała, czy jego krótko ostrzyżone włosy są w dotyku sztywne jak szczecina, czy też miękkie jak jedwab. Zbeształa się za takie myśli.

- Herbata będzie w sam raz.

Oparł się blat. W sam raz. Właśnie tak się teraz czuł. Kuchnia była jasna i przestronna, nie taka, jakie się obecnie spotyka w wielu nowych domach, gdzie człowiek potyka się o własne nogi. Podziwiał świąteczne dekoracje: czerwone kokardy przy starym, dębowym kredensie i okazały wieniec zawieszony w oknie.

Claire nalala wodę do garnka i postawiła go na kuchence.

- Czajnik jest w jednym z kartonów, którego jeszcze nie rozpakowałam. Jeśli będę miała szczęście, znajdę go przed świętami - powiedziała, uśmiechając się kpiąco. Wyjęła z szafki dwa kubki. Posunął się trochę, by zrobić miejsce. Poczula niemiły zapach old spice'a i usłyszała jakiś brzęk. Miał wokół bioder pas z narzędziami. Przypuszczała, że wziął je, żeby naprawić samochód Mamie. Z jednej kieszeni sterczała wiertarka bezprzewodowa, taka, o jakiej zaczęła marzyć, kiedy zakładając żaluzje i drążek do zasłon, co chwila potykała się o przewód od swej wiertarki.

- Może pani skorzystać z kuchenki mikrofalowej i zagotować wodę w kubeczkach.

Spojrzała na kuchenkę mikrofalową, jakby ją ujrzała pierwszy raz w życiu.

- Ma pan rację. Tak będzie szybciej. Chyba za rzadko z niej korzystam. - Powiedziała to tak, jakby się chciała usprawiedliwić.

Przełała wodę z garnka do kubeczków, włączyła kuchenkę i odwróciła się w stronę mężczyzny. Widząc na jego twarzy szeroki uśmiech, jakby właśnie zdobył wielką nagrodę, zapomniała, co zamierzała mu powiedzieć. Po chwili spowaźniał.

- To nie pan napisał to wezwanie do Mamie, prawda?

Potrząsnął głową.

- Ale widniało na nim moje nazwisko. Powinienem być znać jego treść.

Claire skinęła głową. Ani w biurze, ani teraz nie próbował zrzucić winy na kogoś innego.

- Wyobrażam sobie, że kilku notorycznych dłużników przestraszyło się i zapłaciło - oświadczyła drwiąco.

Roześmiał się równie drwiąco.

- Prawie trzystu.

Kuchenka mikrofalowa zabrzęczała, Claire odwróciła się, by wyciągnąć kubki. Otworzyła pojemnik z herbatą, wyjęła dwie torebki, wrzuciła je do wrzątku i przysunęła jeden kubek mężczyźnie.

- Czy zamierzał pan kiedykolwiek przyznać się, że to pan przebrał się za Świętego Mikołaja?

Odpowiedział bez chwili wahania.

- Jak tylko znalazłbym jakiś sposób rozwiązania problemu Mamie. Doszedłem do wniosku, że muszę

zdobyć kilka punktów, chociaż - dodał pośpiesznie - nie dlatego jej pomogłem.

- Wcale tak nie uważam. - Claire próbowała powstrzymać się od śmiechu. Spodziewała się, że będzie z nią szczerzy, ale nie aż do tego stopnia. - Nie bał się pan, że ktoś mógłby mi powiedzieć o tym wcześniej?

Skrzywił się lekko.

- Nikt nie wiedział, że to byłem ja. Miałem nadzieję, że zanim pani wyznam prawdę, początkowy gniew już minie.

Jego rzeczowy ton sprawił, że nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Wszystko sobie pan zaplanował.

- Nie na wiele się to zdało.

Rozbawienie walczyło w niej z irytacją. Rozbawienie zwyciężyło. Znow się roześmiała. Wyciągnęła torebkę z herbatą i sięgnęła do szuflady po łyżeczki. Posłodziła herbatę i podsunęła mu cukierniczkę.

- Mam mleko, jeśli sobie pan życzy.

Powstrzymał się, żeby się nie wzdrygnąć.

- Nie, dziękuję, wystarczy cukier.

Kiedy sięgał po kamionkową cukiernicę, wyrwało mu się cichutkie westchnienie ulgi. Uporawszy się z pismem do Mamie i swym występem w roli Świętego Mikołaja - a w obu przypadkach Claire okazała się bardziej wyrozumiała, niż miał prawo marzyć - mógł przystąpić do zasadniczego planu. Odwróciła się, by wyrzucić torebkę z herbatą do zlewu. Luźna bluza skrzywiła się, uwydatniając jej piersi, stare dżinsy opinały biodra. Poczul falę gorąca i skurcz w żołądku,

który nie miał nic wspólnego z jego wstrętem do herbaty. Powoli, upomniał sam siebie, powoli.

Idąc za jej przykładem, też wrzucił torebkę z herbatą do zlewu. Przy okazji zobaczył, co w nim jeszcze jest, i uśmiechnął się pod nosem.

- Widzę, że należy pani do zlewakowców.

Claire odruchowo zerknęła na zlew. Tkwił w nim mały ronderek z łyżką i zmięty kawałek papierowego ręcznika, który posłużył jej zamiast serwetki. W żaden sposób nie mogła zaprzeczyć, że jadła prosto z garnka, stojąc nad zlewem.

- Prawdę mówiąc, od czasu do czasu zdarza mi się jeść z talerza, ale teraz, kiedy próbuję się urządzić w nowym domu i wszystko rozpakować, bywa, że jadam prosto z garnka - przyznała trochę zawstydzona.
- Oszczędzam na zmywaniu, a poza tym stojąc zamiast siedzieć, mam okazję do dodatkowej gimnastyki.

Tubalny śmiech mężczyzny w jakiś niewytłumaczalny sposób zlał się z ostrymi promieniami słońca wpadającymi przez okno i ogrzał kuchnię.

- Czy pan też jada prosto z garnka?

Ludzie, którzy pochłaniali obiad nad zlewozmywakiem, byli zazwyczaj samotni. Nie nosił obrączki, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Nie żeby jego stan cywilny miał jakieś znaczenie. Po prostu... była ciekawa.

Spojrzał na nią, wsypując do kubka dwie czubate łyżeczki cukru.

- Jestem lodówkowcem. Mam klasę. Spożywam obiad przy łagodnym świetle otwartej lodówki.

Roześmiała się jak dwudziestolatka. Dzięki Bogu

nie miała dwudziestu lat, ale z drugiej strony wcale nie wyglądała na tyle, ile dał jej Bobby.

A więc jest samotny, pomyślała... chyba że ma żonę, która dużo podróżuje. Nagle Claire uświadomiła sobie, że po przyjeździe do domu wysprzątała pomieszczenie gospodarcze, ale się nie umyła. Niewątpliwie ustanowiła nowy rekord niechlujstwa. Jej strój był beznadziejny, ale mogła przynajmniej coś zrobić z włosami. Dotknąwszy ich, pozbyła się resztek złudzeń. Po przyjeździe do domu zdjęła czapkę i ściągnęła włosy w coś w rodzaju końskiego ogona. Z pewnością niewiele teraz z niego pozostało. Powiódł wzrokiem za jej ręką, na twarzy błąkał mu się blady uśmiech. Doszła do wniosku, że przydałoby się coś, co odwróciłoby uwagę Jacka od jej wyglądu.

- Czy chciałby pan obejrzeć dom?

Już prawie postanowił, że sam ją o to poprosi. Starając się nie zdradzić, jak bardzo czekał na tę propozycję, Jack pociągnął jeszcze łyk herbaty. Mało się nie zakrztusił.

- Z największą chęcią.

Rozdział 4

W przeciwieństwie do bezpretensjonalnego domu Mamie, dom Claire odznaczał się wymyślną bryłą. Z każdego pomieszczenia rozciągał się wspaniały widok. W dolince, którą w Tennessee i Kentucky nazwano by wądołem, wybudowano tylko dwa domy. Wokół wznosiły się góry i człowiek odnosił wrażenie, że jest tu zupełnie odcięty od świata. Trudno było uwierzyć, że zaledwie dwadzieścia minut drogi stąd mieszkało pół miliona ludzi. Wstępu do doliny strzegły wysmukłe sosny, na zboczach przycupnęły jałowce i pinie, a wzdłuż potoku wijącego się dnem parowu - topole. Na działce Claire rosło kilka zaniedbanych drzewek owocowych, potężna topola, ocieniająca dom od tyłu, i wspaniały srebrzysty świerk, pilnujący wejścia. U wylotu doliny biegła droga międzystanowa. Wydobyta podczas jej budowy ziemia stanowiła idealną barierę przed hałasem, więc ruch samochodowy nie zakłócał panującej tu ciszy. Tylko czasem widać było refleksy słońca odbijające się w szybach przemykających aut. Dwa kilometry dalej na zachód od szosy międzystanowej odchodziła boczna droga. Okrążała górę i stopniowo się zwęzalała, rozgałęziając do poszczególnych przysiółków, by w końcu przemienić się w wąski

trakt, który dotarłszy do doliny, stawał się ledwo widoczny. Jack, jadąc tu, natknął się na ślady jeleni.

Meble były oryginalne, ale z drugiej strony nie na tyle kobiece, by mężczyzna czuł się wśród nich nieswojo. W największym pokoju królowało drewno. Kolory - zgaszone błękitne szarości, stare złoto i brąz, z barwnymi akcentami oranżu i fioletu - zapraszały do wnętrza. Szeroka kanapa jakby zachęcała: „chodź, odpocznij”.

- Pali pani drewnem w kominku? - spytał, wskazując na kamienne palenisko i mosiężny okap. Spojrzała w tamtym kierunku, a on wykorzystał tę chwilę, by wylać herbatę do stojącej za nim doniczki z kwiatami.

- Co wieczór - potwierdziła Claire. - Zazwyczaj wystarcza to do ogrzania pokoju. Rzadko kiedy muszę włączać piec.

W domu rzeczywiście było całkiem ciepło, nawet bez ognia na kominku.

W sypialni Jack starał się nie patrzeć na olbrzymie łóżce, którego widok wywołał w nim wspomnienie młodzieńczych fantazji, i skoncentrował się na kominku w rogu. Stanowił jedyny dysonans, który jak dotąd dostrzegł w domu. Był z rodzaju tych, jakie cieszyły się popularnością w latach sześćdziesiątych - miał metalowy okap i wyeksponowany przewód kominowy. Na rurze widniały ślady rdzy, co świadczyło, że nie był właściwie zainstalowany i do środka dostawał się deszcz. Na białej ścianie wyraźnie odcinały się ciemne zacieki.

Claire również spojrzała na kominek i skrzywiła się lekko.

- To jedyna rzecz, która mi się tu nie podoba. Nie wiem, co z tym zrobić. Lubię kominki, ale nie takie.

Jack przyjrzał mu się uważnie. Chciałby mieć kominek w sypialni. Leżałby w łóżku, rozleniwiony i odprężony po miłosnych igraszkach, i patrzył na pełgające płomienie...

- No cóż... - chrząknął. - Usunięcie przyczyny zacieków to żaden problem. Sam kominek może pani zastąpić małym paleniskiem na drewno, gaz albo... - podszedł bliżej, machinalnie wyjmując z kieszeni taśmę mierniczą - ...albo może pani tu postawić narożny piecyk z rodzaju tych, jakie się spotyka w indiańskich *pueblach*. - Pochylił się i zaczął mierzyć odległości.

- Można kupić gotowe zestawy. Łatwo je zmontować, potem jedynie trzeba je obudować i otynkować.

Claire spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Mówi pan tak, jakby pan to robił.

- Istotnie. - Wyprostował się i wsunął taśmę mierniczą do kieszeni. - Zacząłem kupować gotowe zestawy dla majsterkowiczów kilkanaście lat temu. Pracowałem na budowach, by zarobić na studia, więc posiadałem dosyć umiejętności, żeby poradzić sobie z podstawowymi pracami remontowymi. Wprowadzaliśmy się z synem do nowego domu, robiliśmy remont, a potem sprzedawaliśmy dom i zaczynaliśmy wszystko od początku. - Roześmiał się niewesoło. - Sądzę, że to był jeden z powodów, dla których postanowił studiować daleko od domu, a potem wstąpił do marynarki. Miał dosyć życia na placu budowy.

Wprowadzał się z synem... z nikim więcej.

- Musi być panu trudno pracować i samemu pro-

wadzić gospodarstwo - powiedziała, próbując bezczelnie dowiedzieć się, czy jest samotny; mógł się ożenić lub zamieszkać z przyjaciółką. Nie zastanawiała się, czemu ją to tak bardzo interesuje.

- Mogę zawsze poprosić kumpla czy dwóch, by przyszli i mi pomogli - powiedział, wychodząc za nią z sypialni.

- Czyżby remontował pan teraz kolejny dom?

- Właśnie skończyłem, ale jeszcze nie wiem, kiedy wystawię go na sprzedaż.

- Doszedł pan do wniosku, że jest za ładny? - spytała uśmiechając się.

Dla jednego takiego uśmiechu warto było całe życie spędzić w więzieniu.

- Nie, też mi się w końcu znudziło mieszkanie na placu budowy. Poza tym przestało się to opłacać. - Jego wzrok pobiegł wzdłuż korytarza do największego pokoju. - Nie sprzedam go, póki nie znajdę domu, w którym zechcę spędzić resztę życia.

Na ich widok z materaca, stanowiącego jedyny mebel w pomieszczeniu, zeskoczył biało-rudy kot. Jack odsunął się, by zrobić mu przejście, ale zaczął się ocierać o jego nogi, mrużąc głośnie.

- Tamale! - Claire próbowała przepędzić zwierza. Większość znanych jej mężczyzn nie przepadała za kotami. - Przestań się panu naprzykrzać.

- Tamale? Kupowała pani tamale u tamtego faceta?

Słyszając w jego głosie zachwyt, Claire zrezygnowała z prób pozbycia się kota i spojrzała na Jacka.

- Chyba nie mówi pan o facecie, który dwadzieścia,

dwadzieścia pięć lat temu na placu między gmachem sądu a szpitalem sprzedawał w porze obiadowej tamale?

- Najwyraźniej spodziewała się odpowiedzi przeczącej.

- Owszem, o tym, którego interes kwitł w najlepsze, póki ludzie się nie zorientowali, że w mieście tajemniczo zniknęły wszystkie bezpańskie koty.

- Wie pan, nigdy nikomu tego nie powiedziałam...

- Więc dlaczego mówi to jemu? - ...ale bez względu na to, z czego je robił, były to najlepsze tamale, jakie kiedykolwiek jadłam.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Rzeczywiście były smaczne. Trochę żałowałem, że splajtowałam. - Widząc jej przerażony wzrok, znów się roześmiał, a potem pochylił, by podrapać kota za uchem. - Czy to też przybłęda?

Claire skinęła głową, przyglądając się, jak kot łąsi się do mężczyzny.

- Wprowadził się dzień po mnie. Otworzyłam drzwi, a on jak gdyby nigdy nic wszedł do środka.

- No cóż, Tamale - zwrócił się Jack do kota. - Mam nadzieję, że wiesz, jaki z ciebie szczęściarz. - Prawdziwy szczęściarz, pomyślał, prostując się.

- Zdaje się, że według niego to ja jestem szczęściarą - stwierdziła Claire.

Wrócili do kuchni. Kobieta spojrzała pytająco na Jacka, który zatrzymał się nagle i rozejrzał wkoło.

- Wie pani, większość domów przypomina ten, w którym teraz mieszkam: składają się ze ścian i dachu. Ale niektóre, na przykład ten, mają jeszcze duszę. Czy dużo czasu zajęło pani odkrycie tego faktu?

Potrząsnęła głową z uśmiechem niedowierzania.

- To dziwne. Pewnego razu zobaczyłam przy drodze międzystanowej tablicę „Na sprzedaż”. Sama nie wiem, kiedy pozszyłam się domu w mieście i spakowałam manatki.

Jak miała mu wyjaśnić, że coś niewytłumaczalnego - los, domowe duszki, jej podświadomość - zadecydowało, że ona i ten dom są dla siebie stworzeni? Jego mina świadczyła, że doskonale ją rozumiał, jak ludzie, którzy się dobrze znają, a oni byli sobie prawie całkiem obcy.

Weszła za nim do kuchni. Mijając filodendron, zmarszczyła czoło. Mogła przysiąc, że pół godziny temu wymagał podlania, a teraz ziemia w doniczce była wilgotna.

Jack wstawił pusty kubek do zlewozmywaka, a potem sięgnął po zdjęcie, stojące na parapecie.

- Czy to pani córka?

W całym domu widział zdjęcia tej młodej kobiety o włosach, które z wiekiem z jasnoblond zmieniły się w ciemnozłote.

Skinęła głową, uśmiechając się z dumą.

- To Emma.

- Jest bardzo ładna, chociaż wygląda raczej jak pani siostra.

- Dziękuję.

Powiedział to takim tonem, jakby stwierdzał oczywisty fakt, bez owego schlebiana sprawiającego, że każdy komplement od razu brzmi nieszczerze.

Odstawił oprawione w ramki zdjęcie.

- Ale nie przyjeżdża do domu na święta?

Przez ułamek sekundy Claire zastanowiła się, skąd Jack to wie. Przypomniała sobie, że mu o tym wspomniała podczas pierwszego spotkania.

- Nie dostała urlopu. Gwiazdkę spędzi w gronie przyjaciół. - Zmusiła się do uśmiechu. - Pojechałam do Maryland na Święto Dziękczynienia, było cudownie, więc właściwie nie ma znaczenia, że teraz nie będziemy razem.

Jej uśmiech i udana beztroska świadczyły o czymś przeciwnym.

- Mój syn też nie przyjedzie. Czy po raz pierwszy nie spędzi pani świąt razem z córką?

- Tak. - Claire z przerażeniem stwierdziła, że nagle zaczęły ją szczypać oczy. W odruchu desperacji całą uwagę skupiła na żółtych roletach w oknie. Wyciągnęła rękę, by poprawić wąski lambrekin, który się ciągle przekrzywiał. - Nie mogę sobie poradzić z tym draństwem - mruknęła pod nosem.

Jack z wyczuciem nacinał pewien punkt, rozległ się cichy trzask i nagle się okazało, że lambrekin wisi idealnie równo.

- To wymaga malej sztuczki.

- Widzę. Dziękuję.

Jednocześnie opuścili ręce i przez moment ogarnęła ją szalona myśl, że Jack ją obejmie. Jeszcze dziwniejsze było to, że tego pragnęła.

Odwróciła się gwałtownie.

- Do obejrzenia pozostało już tylko pomieszczenie gospodarcze.

Pokazała mu wąski schowek, otworzyła drzwi prowadzące do garażu na dwa samochody, do ogródka

na tyłach domu i do spiżarni. To już był koniec zwiedzania. Zamiast jednak pójść za nią do kuchni, Jack zatrzymał się obok suszarki i podniósł leżący na niej podłużny przedmiot.

- Czy to nowy włącznik do suszarki?
- Tak, zamierzam go jutro zainsta...

Zdażył poluzować pierwszą śrubę, gdy nagle Claire przypomniała sobie z przerażającą i upokarzającą jasnością, co powiedziała Świętemu Mikołajowi. Musiała zebrać całą siłę woli, by nie ukryć twarzy w dłoniach i nie jęknąć. Jeśli chciał ją wprawić w zakłopotanie, udało mu się nadspodziewanie dobrze. Obserwowała go bacznie, ale nie dostrzegła żadnego wymownego błysku w jego oczach, żadnego porozumiewawczego spojrzenia. Mówiąc szczerze, w ogóle na nią nie patrzył.

Claire przesunęła się, żeby zrobić Jackowi miejsce, kiedy odkręciwszy osłonę, odkładał ją na bok. Czy to był prawdziwie romantyczny gest? Nawet jeśli tak, nie popisywał się zbytnio. Nie więcej, niż kiedy podczas „obchodu” domu błyskawicznym ruchem wyciągnął kombinerki, by wyregulować strumień wody w rezerwuarze w łazience, albo gdy majstrował śrubokrętem przy zawiasach nie domykających się drzwi do garderoby. Po prostu dostrzegął usterkę, brał potrzebne narzędzie i starał się z nią uporać. Tak jak i teraz. Bez zbędnego gadania... i romantycznych gestów, dzięki Bogu. Cóż za ulga.

- Czy ma pani taśmę izolacyjną? Właśnie mi się skończyła.
- Chyba tak.

Znalazła rolkę w szufladzie w kuchni. Oderwał kawałek, zgrabnie skrzył przewody i owinał.

Naprawę czuła ulgę. Z całą pewnością nie było to rozczarowanie. A przecież niespełna dwie godziny temu z największą rozkoszą by go przejechała. Albo przynajmniej najechała mu na nogę. Skrzywiła się. Takich objawów nie opisywały żadne książki poświęcone menopauzie.

Jack zaczął przykręcać osłonę.

- Dziwię się, że nie wezwała pani serwisanta.

Widząc instrukcję obsługi na suszarce i wyłącznik, zaznaczony na schemacie elektrycznym, domyślił się, że ma w zwyczaju sama dokonywać napraw sprzętu gospodarstwa domowego.

Roześmiała się ponuro.

- Nie potrafię płacić za zainstalowanie części dziesięć razy tyle, ile jest warta. Wyłącznik kupiłam za pięć dolarów, a w punkcie serwisowym zażądali pięćdziesięciu dolarów za naprawę.

- Ooo!

Poczuł do niej szacunek. Większość kobiet zapłaciłaby pięćdziesiąt dolarów. Przykręcił ostatnią śrubkę, wsunął śrubokręt za pas i skinąwszy grzecznie głową, zrobił krok w kierunku kuchni, by umyć ręce. Mijając Claire, dotknął jej ramieniem. Kiedy mrowienie przemieniło się w falę ciepła, doszła do wniosku, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie tego zjawiska. Widocznie w ich ciałach wytworzyły się jakieś ładunki elektryczne. Ale ta myśl była przecież niedorzeczna.

W kuchni Jack umył ręce i rozglądał się za koszem, do którego mógłby wyrzucić papierowy ręcznik. Zajęło

mu osiem minut to, na co jej potrzebna byłaby przynajmniej godzina, podczas której z pewnością wymknęłoby jej się kilka nieparlamentarnych słów. Nie należała do osób wylewnych, ale była mu szczerze wdzięczna.

- Dziękuję za naprawienie suszarki i innych rzeczy też.

Wzruszył ramionami.

- Drobiazg.

- Czy udało się panu coś zrobić z samochodem

Mamie?

- Zatkanął się gaźnik, ale - westchnął - potrzebny jej nowy wóz.

Spojrzała na niego poważnie.

- Dzięki dożywociu zyska trochę na czasie, ale nie rozwiąże to jej problemów, prawda?

Potrząsnął głową.

- Zamierzam opracować dla niej fundusz inwestycyjny, który gwarantowałby jej przynajmniej minimalną rentę. Dysponuje jednak bardzo niewielką kwotą na inwestycje.

Claire skinęła głową. Chociaż sytuacja zdawała się niezwykle poważna, była dziwnie pewna, że Jack znajdzie sposób, by zabezpieczyć Mamie przyszłość. Ostatecznie, stwierdziła, odzyskał niemal wszystkie pieniądze, jakie władze okręgu straciły na niewłaściwych decyzjach jego poprzednika.

Jack spojrział ukradkiem na zegarek. Pora była się pożegnać. Wcale nie miał na to ochoty. Wprawdzie w jego zachowaniu nie dostrzegła nic romantycznego, ale jeśli zostanie dłużej, Claire przypomni sobie, jak

mówiła Świętemu Mikołajowi, że chciałyby mieć kogoś „na stałe”. Domyśliłaby się, co nim kieruje, a to pokrzyżowałyby jego osobiste plany inwestycyjne. Po dwóch stratach właśnie udało mu się osiągnąć niewielki zysk. Jednak chciwość ani zbytnia pewność siebie nie popłacają.

- Cóż, będę się chyba zbierał.

Już w progu przystanął na chwilę.

- Dzięki za oprowadzenie po domu i za herbatę.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc... i za oliwki.

- Nie ma o czym mówić. - Zrobił krok, a potem odwrócił się niespodziewanie. Claire wstrzymała oddech. - A propos, nie zdradziła pani, gdzie kupuje swoje kreacje.

Jack szedł przez łąkę, pogwizdując cicho. Doszedł do wniosku, że też potrafi się nieźle odgryźć.

Rozdział 5

Claire usiadła na brzegu ławki i rozejrzała się wkoło. Natychmiast tego pożałowała. To już zakrawa na szaleństwo, zbesztala się w duchu. W ciągu pięciu dni, które upłynęły od jej ostatniego spotkania z Jackiem Herrodem, widziała go wiele razy - w sklepie spożywczym, w centrum handlowym i w jeszcze kilku miejscach. A przynajmniej tak się jej zdawało. Kiedy oglądała się ponownie, okazywało się, że to tylko przywidzenie; zobaczyła kogoś o zbliżonej sylwetce, takim samym wzroście, podobnych rysach twarzy, a raz - o identycznych brązowych włosach. Teraz znów odniosła wrażenie, że go widzi.

To jego wina, doszła do wniosku wstając, by przepuścić rodzinę, która chciała zająć miejsca w środku ławki. Lepiej było nie siadać z brzegu, ale miało to też swoje plusy: ludzie napierali na nią tylko z jednej strony. Na świąteczne koncerty orkiestry symfonicznej i chóru zawsze wszystkie bilety były wyprzedane. Znów usiadła. Chociaż nie spotykała Jacka, zostawiał ślady swej bytności. Kiedyś po powrocie z pracy odkryła, że choinka, którą kupiła na bazarze, jest osadzona w stojaku i gotowa do wniesienia do środka. Wybierając ją, przeceniła wysokość pokoju. Po przyjeździe do domu stwierdziła, że trzeba będzie

niezle pogłówkować, aby osadzić choinkę w stojaku, nie ucinając czubka. Czekaając na natchnienie, zostawiła ją przed domem w kubie z wodą, a obok postawiła stojak. Doszła do wniosku, że widocznie Jack szybciej wpadł na jakiś genialny pomysł. Mamie miała klucze do jej domu. Powiedziała później, że wniósłby choinkę do środka, ale nie wiedział, gdzie zamierzała ją postawić. Starsza pani wyraźnie sugerowała, że Claire powinna to powiedzieć, a Jack przy najbliższej okazji wstawi choinkę tam, gdzie trzeba. Claire jednak sama wtaszczyła drzewko do środka. Chodziło o zasadę: nie chciała w najmniejszym stopniu czuć się jego dłużniczką.

Za drugim razem stwierdziła, że naprawił zawias u furki i kapiący kran. Gdyby nie fakt, że robił wszystko pod jej nieobecność i wcale się później nie upominał o wdzięczność, o wiele bardziej gryzłaby się tą idiotyczną uwagą o „romantycznych gestach”. Uznała jednak, że to wyjaśnia, czemu wciąż jej się zdawało, że go widzi. Pragnęła mu powiedzieć, że wprawdzie docenia jego wysiłki, ale są one zbędne.

Orkiestra zajęła miejsca na podwyższeniu i zaczęła stroić instrumenty. Claire rozpięła płaszcz, bo w kościele zrobiło się ciepło. Wnętrze było bezpretensjonalnie przybrane sosnowymi girlandami. Z przyjemnością wdychała leśny zapach. Obie z Emmą bardzo lubiły te koncerty. Po raz pierwszy przyszła sama i nie będzie miała z kim dzielić zachwyty nad prześliczną muzyką.

Światła przygasły. Ludzie pośpiesznie zajmowali miejsca. Zorientowała się, że ktoś przystanął w przejściu. Nie patrząc, wstała, by go przepuścić.

- Jack! - Mając jeszcze świeżo w pamięci to, o czym myślała przez ostatnie minuty, o mało nie do-
tknęła go, by się przekonać, że nie śni.

- Cześć, Claire - powitał ją jak gdyby nigdy nic.

- Wydawało mi się, że to ty. Czy znajdzie się tu jeszcze jedno miejsce?

Stała dłuższą chwilę, nim zrobiła mu przejście.

- Oczywiście. Naturalnie. Proszę, siadaj.

Ledwo Jack zajął miejsce, dyrektor uniósł batutę,

więc nie mieli okazji porozmawiać. W ławce zrobiło się ciasno; old spice mieszał się z zapachem sosnowych gałązek. Claire stwierdziła, że to całkiem przyjemna kompozycja. Siedzieli blisko siebie, ale nie odczuwała owego dziwnego mrowienia. Zrobiło jej się tylko gorąco. Dyskretnie rozchyliła płaszcz.

Pierwszym punktem programu było „Magnificat” Bacha na orkiestrę, kilku solistów i chór. Jack zdawał się całkowicie pochłonięty muzyką i tak nią oczarowany, że tylko raz się poruszył. Ale nawet przez kilka warstw ubrania czuła jego umięśnione udo. Tak ją absorbowwała obecność Jacka, że można by pomyśleć, iż muzyka przestanie się liczyć. Jednak było wprost przeciwnie. Chłonęła ją całą sobą i ze zdumiewającą jasnością rozumiała niezwykle znaczenie narodzin pewnego dzieciątka.

Kiedy orkiestra przestała grać, przyłączyli się do owacji. Podczas przerwy ludzie chcieli nieco rozprostować kości i porozmawiać ze znajomymi. Oboje wstali, by przepuścić osoby, siedzące w głębi ławki.

- Nie chcesz zdjąć płaszcza? - spytał grzecznie Jack.

- Nie. - Teraz, kiedy nie siedział tuż przy niej, zrobiło jej się chłodno. Był w samym garniturze, ale jeśli wziąć pod uwagę promieniujące od niego ciepło, wcale jej nie dziwiło, że przyszedł bez płaszcza.

- Nigdy jeszcze nie byłem na koncercie - zaczął mówić - i dzisiaj też bym nie przyszedł, ale ktoś w biurze miał zbędny bilet. Nie miałem nic do roboty, więc pomyślałem sobie, dlaczego nie skorzystać. Dobrze, że się zdecydowałem. Muzyka jest cudowna. - Będzie musiał dać Estelle podwyżkę, nie tylko za przeżycie czegoś, co sprawiło mu aż taką przyjemność, ale również za to, że niespodziewanie spotkał Claire. Zamierzał się z nią umówić, ale tak było lepiej: przypadkowe spotkanie, które spróbuje przedłużyć przynajmniej o parę godzin.

Usłyszał, jak ktoś go woła. Odwrócił się i zobaczył klienta, machającego mu ręką. Ponieważ nie był to ktoś, za kim przepadał, postanowił podejść, aby same-mu móc zadecydować, jak długo ma trwać rozmowa.

Prześciśnięcie się przez zbity tłum nie było wcale takie proste i kiedy w końcu wrócił na swoje miejsce, światła już przygaszono. Znów go przepuściła, zamiast przesunąć się i zrobić mu miejsce z brzegu. Sprawilo mu to jakąś irracjonalną przyjemność. W ten sposób jedynie on był jej sąsiadem i jakby należała wyłącznie do niego.

W drugiej części programu występował chór *a cappella*. Śpiewacy zajęli swoje miejsca i wykonali krótką wiązaną kolęd. Był pełen uznania, że do kilkuminutowego występu mężczyźni włożyli czarne krawaty. Światło jeszcze bardziej przygasło. Gdzieś w oddali

rozległ się śpiew kobiet. Stopniowo stawał się coraz wyraźniejszy, w miarę jak członkinie chóru zaczęły się wolno zbliżać do ołtarza, krocząc bocznymi nawami. Nie śpiewały głośno, mimo to ich głosy wypełniały wielki kościół. Poczul gęsią skórkę. Ubrane na czarno kobiety przesuwały się majestatycznie. Wydawało mu się, że cofnął się w czasie i obserwuje średniowieczne mniszki, podążające kruzgankami do starej kaplicy. Kiedy kobiety dotarły do ołtarza, rozległy się dźwięki harfy. Tę część koncertu opisano w programie jako wybór kolęd średniowiecznych. Nie znał żadnej z nich, nie rozumiał słów, ale czuł, że w tej muzyce jest coś potężniejszego niż w finezyjnych i pełnych ozdobników utworach, które słyszał wcześniej.

Claire siedziała nieporuszona, słuchając... i przeżywając. Wprawdzie inscenizacja była wyjątkowo efektowna, ale najbardziej porwała ją muzyka, głosy chóru i dźwięki harfy. Nie знаła tych kolęd, nie rozumiała ich słów, ale domyślała się, o czym mówiły. Kobiety nie śpiewały o narodzinach króla królów, Syna Bożego; śpiewały o czymś znacznie prostszym, lecz równie wzniosłym - o kobiecie świętującej przyjście na świat swego najdroższego dziecka. Rozumiała matczyną dumę, radość i miłość.

Chór zakończył występ tak, jak go rozpoczął. Kiedy Jack się odwrócił, by popatrzeć na przechodzące obok śpiewaczki, dostrzegł błyszczące oczy Claire. W pierwszym odruchu zapragnął wziąć ją w ramiona, a przynajmniej przytulić. Pomyślał jednak, że to on odczuwał taką potrzebę, a nie ona. Wyglądała, jakby nagle ożyło w niej wspomnienie czegoś niezwykle przyjemnego.

Dotknął tylko lekko rękawa jej płaszcza. Był pewien, że tego nie zauważyła.

Publiczność biła brawo, póki nie zapaliło się światło. Kilka minut później wychodzili z kościoła głównymi drzwiami.

- Nie zdążyłem przed koncertem zjeść obiadu. Czy zechcesz dotrzymać mi towarzystwa „U Buddy'ego”?

- spytał swobodnie.

Sformułował swe zaproszenie tak, by zabrzmiało naturalnie. Gdyby mu odmówiła, wyszłaby na osobę wstrętą i samolubną, skazującą go na spożycie obiadu w samotności. Claire pomyślała, że nie udał mu się podstęp, bo już wcześniej postanowiła, że przed powrotem do domu wstąpi do Buddy'ego.

- Oczywiście. Czemu nie?

Dołączyli do niewielkiej grupki przechodniów, stojących na rogu i czekających na zmianę światła. Restauracja „U Buddy'ego”, mieszcząca się po drugiej stronie głównej ulicy Albuquerque, obok kościoła i miasteczka uniwersyteckiego, na stałe wpisała się w pejzaż miasta. Trzydzieści lat temu zaledwie nędzna knajpa, z czasem wyeliminowała konkurencyjne lokale w całej dzielnicy. Stała się ulubionym miejscem spotkań studentów, chociaż nierzadko widywało się tu również całe rodziny, starsze pary i urzędników, którym znudził się bar kawowy.

W środku owionął ich zapach zielonego chili, smażonych *tortilli*, przypalonego tłuszczu i parującej kawy oraz słaba woń środków dezynfekujących. W lokalu obowiązywała samoobsługa. Claire podeszła do konktuaru. Nie zwracając uwagi na menu, wymalowane nad

głową, złożyła zamówienie u kelnera, który zgodnie z tradycją „U Buddy'ego” był młody, sprawny, a na głowie miał siatkową czapkę.

- Poproszę dużą kawę i ciastko cynamonowe.

Wielkie jak talerz, ociekające masłem ciastka cynamonowe u Buddy'ego były równie smaczne jak te czekoladowe.

- Proszę to dopisać do mojego rachunku.

Kelner skinął głową i czekał, co zamówi mężczyzna. Claire, która już zaczęła wyciągać portmonetkę z torebki, wolno się odwróciła. Ich spojrzenia się spotkały. Jack uniósł lekko brwi w niemym pytaniu, ale nie dała się zwieść. Poznała go już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż tylko czekał, by zaprotestowała. Nie bała mu się sprzeciwić - w gruncie rzeczy mogłoby to nawet być zabawne - ale nie warto się było sprzeczać o filiżankę kawy i ciastko cynamonowe. Poza tym to, że zafunduje jej kawę i ciasto, wcale jeszcze nie znaczyło, że mają randkę.

- Dziękuję - powiedziała grzecznie.

Znaleźli wolny stół w trzeciej sali. Claire postawiła filiżankę z kawą i położyła sztucce dla ich obojga.

- Dziękuję za osadzenie drzewka w stojaku i naprawienie furtki oraz kranu. To ładnie z twojej strony.

Jack, nie unosząc głowy, rozłożył serwetki. Była zabawna z tą swoją konkretnością. Spojrzał na nią, gdy nabral pewności, że się nie roześmieje.

- Miałem trochę wolnego czasu. Ładna choinka.

- Kupiłam ją na targu - stwierdziła rzeczowo. Czy teraz może przestać zachodzić w głowę, jakimi motywami kieruje się Jack, i po prostu przyjąć do wiado-

mości, że jest miłym facetem? - pomyślała ironicznie. - Zauważyłam, że zniknęły stare obligacje Mamie. Powiedziała, że poprosiła ją, by ci je dała. - Trochę ją to zdziwiło, ale doszła do wniosku, że może uznał, iż dzięki temu Mamie nie będzie tak uparcie odmawiała jego pomocy.

W jej tonie wyczuł pytanie. Musi zachować ostrożność odpowiadając.

- Władze okręgu nie przechowują obligacji po ich wykupieniu. Pomyślałem sobie, że dobrze by było wywiesić parę jako swego rodzaju ciekawostkę. - Szczęśliwym trafem przez megafon wymieniono kilka liczb. Wstał szybko. - To nasze zamówienie. Czy masz jeszcze na coś ochotę?

Kiedy minutę później postawił tacę na stole, Claire nie potrafiła sobie wyobrazić, czego mogłoby im brakować. Może jedynie kogoś do pomocy w zjedzeniu tego wszystkiego, co zamówił Jack. Oprócz jajek sadzonych na grzankach i tortilli wielkości talerza były tam jeszcze placki ziemniaczane z serem i zielonym chili, miska duszonego zielonego chili z tortillą, a na deser smażony placek. Aż trudno uwierzyć, że mając taki apetyt, można zachować szczupłą sylwetkę.

Wzięła widelec i odkroiła kawałek ciastka z cynamonem. Zamknęła oczy, by móc się w pełni delektować pierwszym kęsem.

- Mmm. - Otworzyła oczy i powiedziała rozmazana: - Kocham te rzeczy.

- Widzę - mruknął.

Uśmiechnęła się. Ogarnęła go fala ciepła.

- Moja córka też. Wysłałam jej paczkę na święta.

- Byłaś zaskoczona, kiedy wyjechała do pracy na wschód?

Ze zdjęć, które widział w domu Claire, i z jej wyraźnego rozczarowania, że córka nie przyjedzie na święta, wywnioskował, że muszą być bardzo zżyte, ale może się mylił.

Potrząsnęła głową, odkrawając kolejny kawałek ciastka.

- Emma wybrała sobie college w Maryland. Jak tylko wyjechała, wiedziałam, że nie wróci, przynajmniej na stałe. Nigdy nie lubiła Nowego Meksyku. Nie znosi słońca i tutejszego klimatu. - Roześmiała się ironicznie. - Chciałam, żeby moje dziecko było samodzielne i niezależne i nie trzymało się wiecznie matki. Udało się. Niech to diabli!

- W takim razie musi ci być ciężko, że nie przyjedzie do domu na święta - zauważył cicho.

Skrzywiła się.

- Tak, ale... - westchnęła głęboko. - Wiedziałam, że kiedyś to nastąpi. - Spojrzała na stół. Jajka, jedna tortilla i placki ziemniaczane zniknęły, Jack do połowy uporał się też z duszonym zielonym chili. - Czy twój syn po raz pierwszy nie przyjedzie na święta?

- W zeszłym roku też go nie było, ale jego statek stał w porcie w San Diego, więc do niego poleciałem. W tym roku jest gdzieś na środku Pacyfiku, tak że nie ma szans na wspólną Gwiazdkę.

Z jego głosu nie można było wywnioskować, co czuje, ale po twarzy przemknął mu cień.

- Musieliście się bardzo żyć, skoro razem pracowaliście przy wszystkich tych domach - stwierdziła

lecko. Co stało się z jego żoną? Nawet teraz ojcom niełatwo zdobyć prawo do opieki nad dzieckiem, a co dopiero dziesięć czy piętnaście lat temu.

- Owszem, choć trochę to trwało.

Jack z zadowoleniem spostrzegł, że jej talerz jest pusty. Zjadła wszystko, nie przejmując się kaloriami. Dyskretnie oblizwała widelec. Tylko skończony głupiec, wytłumaczył sobie Jack, byłby zazdrosny o widelec.

Claire przyglądała się, jak ostatnim kawałkiem tortilli wyciera do czysta miskę z duszonym chili.

- Dlaczego?

- Moja żona była alkoholiczką - powiedział rzeczowym tonem. Ugryzł kawałek smażonego placka i popił kawą. - Próbowałem leczyć ją w przychodni, w zakładach zamkniętych, szukałem pomocy u konsultantów i w klubach AA, myślałem, że może się opamięta, kiedy przeprowadzimy separację - słowem, uciekałem się do wszelkich sposobów. Nic nie zdawało egzaminu. Wracałem do domu i znajdowałem ją zachłyśniętą własnymi wymiocinami, albo, co gorsza, Gary zastawał ją w takim stanie. Kupowała na kredyt. Znikała na kilka dni. Miała romans ze swym psychiatrą. Przez długie lata pracowałem na pełny etat i zajmowałem się Garym, żywiąc coraz większy szacunek do samotnych matek. Nie pamiętałem już, co to znaczy nie być zmęczonym. W końcu nie pozostało mi nic innego, jak się rozwieść.

Claire słuchała w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć, by nie zabrzmiało to banalnie.

- Bez trudu uzyskałem prawo do opieki nad Garym, ale miał dwanaście lat i był przekonany, że jego

obowiązkiem jest zająć się matką, skoro ja ją opuściłem. Jak większość osób uzależnionych, potrafiła manipulować innymi. Kiedy zabierałem go ze sobą, uciekał z powrotem do niej. Zostawiłem jej dom, żeby miała dach nad głową. - Westchnął. - Właściwie nie miałem wielkiego wyboru. Nie mogłem go zmusić, by został ze mną, chyba że przykułbym go kajdankami do łóżka. Wiedziałem, że moi dawni sąsiedzi będą mnie informowali, jak mu idzie i... - skrzywił się - nie zawiodłem się. Matka oczywiście nie była w stanie nad nim zapanować i zupełnie się rozpuścił. W dniu, w którym wybrał się do szkoły z włosami ufarbowanymi na zielono, miałem trzy telefony, zanim oddalił się od domu o dwie przecznice.

Znów ugryzł kawałek placka i popił kawą.

- Jak go odzyskałeś? - spytała po chwili.

Roześmiał się krótko.

- Podczas pierwszego remontu. Wydatki bieżące i koszty leczenia żony doprowadziły mnie do bankructwa. Mieszkałem w tanim, jednopokojowym mieszkaniu, póki nie zgromadziłem dość oszczędności, by mieć na zaliczkę na dom, wystawiany na przetargu państwowym. Tak się akurat złożyło, że oferowano jeden za pół ceny, bo był kompletnie zdewastowany. Znajdował się jakiś kilometr od mojego starego domu, więc Gary wpadał od czasu do czasu, by zobaczyć, jak sobie radzę. Zanim się obejrzał, wciągnął się w prace remontowe. Początkowo zostawał na jedną, dwie noce, w końcu zamieszkał na stałe. Remont to było coś, czym mogliśmy się zająć bez zbędnych dyskusji, a - uśmiechnął się blado - zdzieranie tapet ze ścian oka-

zało się niezłą terapią. Poza tym wyprowadziwszy się od matki, mógł spojrzeć na nią bardziej obiektywnie. Uświadomił sobie, że bez względu na to, jak bardzo ją kocha i pragnie jej pomóc, ma niewielkie możliwości.

Tego samego musiał nauczyć się jego ojciec, pomyślała Claire, obserwując, jak Jack utkwiał wzrok w jeden punkt.

- Bałem się tamtej Gwiazdki, wydaje mi się, że Gary też. Nadal właściwie koczowaliśmy. Obiad przygotowaliśmy z mrożonek i mieliśmy najskromniejszą choinkę, jaką tylko można sobie wyobrazić, a pod nią zaledwie kilka prezentów. - Uśmiechnął się. - Gary oświadczył, że to była najpiękniejsza Gwiazdka w jego życiu.

Po kilku chwilach milczenia Claire spytała cicho:

- A co się stało z twoją byłą żoną?
- Kilka lat temu rodzice skłonili ją do powrotu do Michigan. Od czasu do czasu Gary dostaje od niej list. Mówi, że nic się nie zmieniło.

Chciała coś powiedzieć, ale po tonie jego głosu zorientowała się, że jeszcze nie skończył.

- Odkryłem, że miłość wcale się nie kończy wraz z rozpadem małżeństwa - powiedział wolno, niemal refleksyjnie. - Tylko się zmienia. Człowiek przestaje być zakochany, ale nadal interesuje się losem byłego współmałżonka. - Potrząsnął głową, uśmiechając się ponuro.

- Wiem - przyznała mu cicho rację.

Obserwowała, jak Jack kończy smażony placek i kawę. A więc nie było to rozstanie z rodzaju tych

naznaczonych chęcią zemsty i odegrania się. Mimo niezwyklej szczeroci Jacka wyczula, ze jak wiekszosc męzczyzn nie lubi rozmów na tematy osobiste, nawet dotyczace przeszlosci. Nie wiedziala, dlaczego postanowil otworzyc sie wlasnie przed nia, obdarzajac ja zaufaniem, na ktore niczym sobie nie zasluzyła. Ale wcale nie zamierzala dociekać przyczyny. Odczuwala wzruszenie, ze jej zaufał, poza tym byla zadowolona, bo zaspokoila swoja ciekawosc, do ktorej nigdy by sie nikomu nie przyznala.

Prawde mówiac, byl taki szczerzy i rzeczowy, niemal chlodny, opowiadajac o swej bylej zonie, iz sprawial wrazenie, jakby calkowicie przestal sie interesowac jej losem. Nagle zrozumiala, ze opowiedzial jej to wszystko tak, jak wyswiadczał drobne przyslugi - bez zbędnych fanfar, bez chęci wzbudzenia wspolczucia czy podziwu. Niektórzy ludzie natychmiast przestaja interesowac swych bylych wspolmalzonkow, ale jego zona sie do nich nie zaliczala. Zdaniem Claire rozwód powinien byc drogi i bolesny, zarowno emocjonalnie jak i finansowo; w przeciwnym razie cala idea malzenstwa ulegala trywializacji. On jednak zaplacil wyzsza cene niz inni. Wielu męzczyzn byloby zgorzknialych albo gnębiloby ich calkiem nieuzasadnione poczucie winy, ale Jack otrzymał od zycia najtrudniejsza lekcje, wiec sie pogodzil, ze niektorych rzeczy nie da rady zmienic. Zaakceptowal to, co sie stalo, i nie uzalal sie nad soba. Po prostu od nowa ulozyl sobie zycie i pomogl rowniez synowi odnalezc sie w swiecie. Bylo jej go zal, a jednoczesnie wzbudzal w niej podziw. To prawda, ze znala go od niedawna, ale wystarczajaco

długo, by się zorientować, jak dużo gotów jest dać innym. To niesprawiedliwe, że nie miał nikogo, kogo mógłby obdarzyć uczuciem.

Jack rozejrzał się wkoło i niemal parsknął śmiechem. Z tyłu dwaj mali chłopcy, którzy już dawno powinni leżeć w łózkach, marudzili, że nie chcą wracać do domu; przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch włóczków, jeden przypominał kowboja, drugi jakiegoś szamana. Dwa stoliki dalej pomocnik kelnera zbierał brudne nakrycia. Idealne miejsce do snucia opowieści o własnym życiu. Wcale nie zamierzał jej się zwierzać, nie wiedział, co go do tego skłoniło, ale nie żałował. Wszyscy w jego wieku noszą jakieś brzemię. Odstawił pustą filiżankę i spojrzał na Claire, uśmiechając się lekko.

- No, teraz kolej na ciebie.

- W porównaniu z twoimi przeżyciami moje to nic. Kiedy poślubiłam ojca Emmy, był dużym dzieckiem. Nie zmienił się przez następne dziesięć lat, ale ja urodziłam córkę i potrzebowałam u swego boku kogoś dorosłego. Rozeszliśmy się, zanim sytuacja osiągnęła punkt, w którym złe wspomnienia przesłoniłyby to, co spotkało nas dobrego. Wyprowadził się do Denver, a my z Emmą zostaliśmy tutaj.

Wiedział, że nie było to takie proste. Już się zdążył przekonać, że jest lojalna i opiekuńcza. Nie dostrzegł jednak u niej poczucia klęski i rozgoryczenia. Podejrzewał, że od urodzenia wiedziała to, czego on musiał się uczyć przez kilka lat - że szczęście to wyróżnienie, a nie coś, co się każdemu automatycznie należy od życia. Roztrząsanie dawnego szczęścia albo bierne cze-

kanie na uśmiech losu groziło tym, że człowiek przestanie czynić jakiegokolwiek wysiłki, by być szczęśliwym. Walczyła o prawo do szczęścia, i to z powodzeniem. Już miał ją spytać, jakie ma plany na piątkowy wieczór, kiedy kowboj i szaman podnieśli się od swojego stolika.

- Chodźmy pokrzętać się w Double Rainbow, stary - powiedział jeden z nich, kiedy ich mijali. Jack zaklął pod nosem, widząc zmieszaną minę Claire. Przypomniała sobie, co powiedziała Świętemu Mikołajowi. Jeśli jeszcze raz wpadnie mu w ręce to przebranie - obiecał sobie - spali je. Zaczęła zapinać płaszcz. Nie miało sensu zadawać pytania, na które odpowiedź by mu się nie spodobała.

- Gotowa do wyjścia? - spytał uprzejmie, udając, że nie widzi ulgi na jej twarzy, kiedy wstał. Z trudem panując nad swoją niecierpliwością, powtórzył sobie, że nie ma pośpiechu. Ostatecznie nie czekał na nią całe życie, tylko odnosił teraz takie wrażenie.

Rozdział 6

Jack przestudiował jadłospis, umieszczony w oknie restauracji. Pamiętał, że jedzenie jest tu kiepskie, a kolejka czekających na miejsce ciągnęła się do samych drzwi. Początkowo zamierzał zarezerwować stolik w jakimś miłym lokalu, ale skoro przyjechał sam, szkoda było zachodu. Odwrócił się i przeszedł na drugą stronę ulicy. W „Plaza Bakery” wprawdzie nie ujrzał oczekujących, ale wszystkie stoliki były zajęte i nie zapowiadało się, żeby ktokolwiek szykował się do wyjścia. Rozejrzał się, czy są jakieś wolne miejsca na ławkach stojących na placu. Odniósł wrażenie, że co najmniej połowa mieszkańców Santa Fe wyznaczyła sobie tu spotkanie. Ostatecznie zdecydował się na bar kilka kroków dalej. Nie słychać ze swej kuchni, ale podawali tam dobre placki.

Ruszył zatłoczonym chodnikiem i zajrzał przez wielkie okno, żeby zobaczyć, czy są wolne stoliki albo miejsce przy barze. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego ciekawego, ale nagle twarz opromienił mu uśmiech.

Claire uniosła wzrok i przestała jeść. Nikomu nie powiedziała, że tu będzie, nawet Mamie, więc skąd Jack wiedział, gdzie ją znaleźć? Westchnęła z rezyg-

nacją. Nie mógł wiedzieć. To kolejny zbieg okoliczności... lub kara za tchórzostwo.

We wtorek wstąpił do Mamie wstawić nową szybę w oknie, a potem oczywiście zajrzał do jej domu. Naprawił żaluzje w oknie łazienki i zostawił informację, że przyjechał pracownik gazowni, ale nie jest jej potrzebna nowa butla z gazem, i czy ma ochotę w piątek wybrać się z nim na obiad do Santa Fe. Wiedziała od Mamie, że Jack zjawi się następnego dnia, więc zamiast dzwonić, zostawiła mu karteczkę z wiadomością. Podziękowała za naprawienie żaluzji oraz zaproszenie na obiad i poinformowała, że ma już inne plany na piątek. Zostawiła również pięć dolarów za żaluzje. Po powrocie do domu stwierdziła, że wkręcił brakujące śruby w drzwiczkach dla Tamale. Nie zostawił nowego liściku, nie wziął też pieniędzy. Niepotrzebnie tylko z taką siłą wcisnął pinezkę, pomyślała.

Trzymając tacę, rozejrzał się po sali. Pomachała mu ręką, lekceważąc głos, który jej szeptał, że nie robi tego przez zwykłą grzeczność. Kiedy siadał przy stole, przypomniała sobie, że usta ma pełne jedzenia. Przelknęła pośpiesznie.

- Czy to tutaj zamierzałeś zabrać mnie na obiad?
Skinął głową.

- Tutaj albo do „Lota Burger”. Po tamtym ciastku i kawie zdałem sobie sprawę, że jesteś kobietą, o jakiej marzą wszyscy mężczyźni - niekosztowną.

Spojrzała na niego wyniośle.

- Nie zgodziłabym się na nic poniżej „Burrito Bucket”.

Czyżby rzeczywiście uważał ich wyprawę do Buddy'ego za randkę?

Z rezygnacją pokiwał głową.

- W takim razie cieszę się, że nie przyjęłaś zaproszenia.

Jego rozbawiony uśmiech zdawał się mówić, że pomimo tej odmowy jednak jedzą razem obiad.

- Czy przyjeżdżałeś tu wcześniej na Las Posadas?
- spytała. Nie uszło jej uwagi, że chociaż nie zrezygnował z zaplanowanego wyjazdu, nie poprosił nikogo, by mu towarzyszył. Ubrany był w stare džinsy i równie starą kurtkę. Pod nią miał granatowy sweter, który sprawiał, że jego oczy zdawały się jeszcze bardziej niebieskie.

Usta miał pełne jedzenia, więc jedynie pokręcił głową.

- Widziałem je parę razy w Albuquerque - wyjaśnił, kiedy już przełknął.

Przez okno było widać, że tłum z każdą chwilą gęstnieje. więc postanowili nie tracić czasu na rozmowy. Las Posadas - co można przetłumaczyć jako „schronienie” - to odtworzenie poszukiwań noclegu w Betlejem przez Józefa i Marię. Tradycja ta zrodziła się w średniowiecznej Hiszpanii. Do Nowego Meksyku trafiła czterysta lat temu wraz z pierwszymi hiszpańskimi konkwistadorami. W tej, którą zorganizowała jedna z parafii w Santa Fe, do ról Józefa i Marii zaangażowano parę wykonawców, ale każdy mógł się przyłączyć do wspólnej zabawy.

Punktualnie o siódmej dwaj mężczyźni z pochodniami ruszyli wolno wokół placu, a za nimi podążył kolorowy pochód. Matka Boska jechała na osiołku, święty Józef szedł z tyłu. Uczestnicy procesji śpiewali

„Pójdźmy wszyscy do stajenki” i inne stare kolędy. Claire nie wiedziała, jak Jack tego dokonał, ale przecisnął się z nią przez tłum, aż znaleźli się na krawężniku. Stał za nią, wokół tłoczyli się ludzie. Zrobiło jej się ciepło. Wiedziała, że nie jest to wyłącznie zasługa grubych rajstop.

Józef zatrzymywał się, prosząc o nocleg dla żony i siebie, ale w każdej „gospodzie” odprawiano go z kwitkiem. Diabeł w czerwonym kubraku, z przyprowadzonymi rogami, ogonem i krótką bródką, z nieodłącznymi widłami, biegał podbechtując karczmarzy i wygrażając Józefowi i Marii. Wszystko odgrywano po hiszpańsku, ale niepotrzebna była znajomość języka, by śledzić akcję. Widzowie, stojący po obu stronach ulicy, gwizdali i buczeli na niegościnnych właścicielach gospód i diabła, udzielając bezdomnej parze moralnego wsparcia. Wreszcie w ostatniej gospodzie użyczono im schronienia. Wszyscy wzniesli radosne okrzyki i podążyli w tamtą stronę.

„Stajenka” była w rzeczywistości dziedzińcem Pałacu Gubernatora. Z czasem zamieniono go w muzeum historyczne. Metrowej grubości mury były świadkami prawie czterystu Las Posadas, Dzisiejsze przedstawienie właściwie nie różniło się od pierwszego, jeśli nie brać pod uwagę współczesnych strojów uczestników i latarek zastępujących pochodnie, którymi dawniej oświetlano sobie drogę. Wieki tradycji, kolędy, żywo reagująca publiczność podkreślały znaczenie tego, co się wydarzyło prawie dwa tysiące lat temu w innej stajence, podczas podobnie chłodnej, gwiazdzistej nocy.

Dziedziniec oświetlały płonące stopy sosnowych

szczap, wonny dym unosił się w nieruchomym powietrzu pionowo w górę. Maria i Józef zajęli swoje miejsca, otoczeni przez osiołka i kilka owieczek, skubiących wiązkę siana, na której spoczęła znużona Maria. Żywy obraz, przedstawiający scenę narodzin Jezusa, nie byłby kompletny bez niemowlęcia, opatulonego i śpiącego w żłóbku z surowej sosny.

Roznoszono *bizcochitos* - i grzane wino. Claire uśmiechnęła się z wdzięcznością, kiedy Jack podał jej kubek z parującym napojem. Podzielił się z nią garścią ciasteczek. Chrupali i popijali w zupełnej ciszy, póki gitarzysta nie usiadł na wiązce siana obok Józefa i nie zabrzmiały pierwsze dźwięki „Pokój światu”, czyli „*Paz en la Tierra*”, jak można było wyczytać w śpiewnikach, które nagle zaczęły krążyć wśród publiczności.

Teksty kolęd wydrukowano w języku hiszpańskim, ale melodie były znane, więc wszyscy przyłączyli się do śpiewu. Z płonących szczap unosiły się w górę iskry, a głosy zebranych rozbrzmiewały pod rozgwieżdżonym niebem, stanowiącym sklepienie tej naturalnej katedry.

Jack uśmiechnął się, kiedy gitarzysta z fantazją zakończył „Cichą noc”. Claire fałszowała tylko troszeczkę. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, czując rozpierającą ją radość. On, nie zastanawiając się wiele, objął ją i przytulił mocno. Niemal natychmiast zwolnił uścisk, ale widząc, że Claire się nie wrywa, nadal otaczał ją ramieniem. Po prostu jej zimno, wytłumaczył sobie, poważnie rozważając, czy nie opatulić Claire swoją kurtką, bo sam wcale nie odczuwał chłodu. Ponieważ nie mógł jej objąć i przytulić z całej siły, jak

tego pragnął, zadowolił się całowaniem włosów Claire tak delikatnie, żeby nic nie poczuła. Zamknął oczy i wolno wdychał słodki zapach. Była miła, otwarta, wesoła, zabawna, inteligentna, ładna i na pewno wszyscy mężczyźni, którzy ją znali, trochę się w niej podkochiwali. On zupełnie stracił głowę.

Otworzył oczy i uśmiechnął się. Myśl ta nie wywoływała już w nim wstrząsu, jak parę tygodni temu, kiedy uświadomił to sobie po raz pierwszy. Prawdopodobnie wszystko zaczęło się od jej pierwszego uśmiechu i rozwijało zupełnie naturalnie. Pokochanie jej było czymś tak oczywistym jak dwa i dwa równa się cztery. Uśmiechnął się. Najwyraźniej nie była tak biegła w dodawaniu jak on. Upłynęło dwadzieścia siedem lat, więcej niż połowa jego życia, od czasu gdy był ostatni raz zakochany. Ale nigdy jeszcze nie kochał tak mocno. Choć należał do ludzi niecierpliwych - narwanych, sprostował ironicznie - tym razem się nie śpieszył, pragnąc rozkoszować się tym uczuciem, smakować je.

Po odśpiewaniu ostatniej kolędy ze śpiewnika święty Józef i Matka Boska z dzieciątkiem na ręku dostojnie opuścili zebranych. Tłum na dziedzińcu zaczął rzędnąć. Claire zdusiła westchnienie, kiedy Jack przestał ją obejmować. Mogła się oszukiwać, że zrobiło jej się przykro, bo przemarzła. Prawdę mówiąc, odczuwała żal. Dotyk jego dłoni sprawiał jej prawdziwą przyjemność.

- Chodźmy przed odjazdem na kawę - zaproponował, wsadzając ręce do kieszeni kurtki. - Zostajesz tu na noc czy wracasz do domu?

Claire też wsunęła ręce do kieszeni.

- Wracam do domu.

Skręcili w boczną ulicę. Przed nimi szła młoda para, niosąc na rękach dzieci.

- Czasami pragnę znów trzymać na ręku małe dziecko - mruknęła.

Roześmiał się łagodnie.

- Znam to uczucie. Już się nie mogę doczekać, kiedy zostanę dziadkiem.

Uśmiechnęła się.

- A ja babcia.

Miała dziś rozpuszczone włosy, chmura loków stanowiła wspaniałą oprawę dla jej pięknego uśmiechu. Chłodne powietrze zaróżowiło policzki, w łagodnym świetle latarni oczy zdawały się srebrzyste. Zwolnił nieco kroku, by się jej dyskretnie przyjrzeć. Miała wystarczająco krótką kurtkę i opięte dżinsy, by mógł podziwiać jej zgrabne biodra i długie nogi. Jednym słowem, wyglądała tak apetycznie, że z chęcią by ją schrupał. Przypomniał sobie, że idą tylko na kawę.

- Nie wszystkie kobiety tęsknią za tym, by zostać babciami.

Claire zrozumiała to, czego nie wypowiedział na głos.

- Ponieważ uważają, że wnuki to dowód ich starości? To prawda - przyznała mu rację i wzruszyła ramionami. - Nie przywiązuję zbytnej wagi do swego wieku. Ukończenie trzydziestki przyjąłam obojętnie i chyba nawet nie zauważyłam, kiedy stuknęło mi czterdzieści. - Milczała przez chwilę. - Ale myślę, że z pięćdziesiątymi pierwszymi urodzinami będzie ina-

czej. Całe szczęście, że zostało mi jeszcze kilka lat, by się oswoić z tą myślą.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Dlaczego z pięćdziesiątymi pierwszymi, a nie pięćdziesiątymi?

- Och... - roześmiała się lekko zawstydzona. -

Dawno temu postanowiłam, że dożyję stu lat. Kiedy zacznę pięćdziesiąty pierwszy rok życia, będę musiała nieodwołalnie przyjąć do wiadomości, że połowę życia mam za sobą.

Jack wybuchnął śmiechem, otwierając jednocześnie ciężkie, rzeźbione drzwi do hotelowej kawiarni. Nie spotkał nigdy cudowniejszej kobiety.

Kiedy usiedli przy stoliku, Claire dyskretnie rozejrzała się po sali. Pomyślała, że lokal w najmniejszym stopniu nie przypomina baru. Choć nosił skromną nazwę „Grill”, w rzeczywistości był jednym z wytworniejszych w mieście. Na szczęście architekt wewnątrz ustrzegł się przed wyjąłymi kojotami i innymi kiczami, typowymi dla Santa Fe, decydując się na elementy autentycznego folkloru Nowego Meksyku: barwne indiańskie kilimy, bielone mury, proste, sosnowe meble i kilka przykładów dobrej, indiańskiej sztuki ludowej. W każdym innym mieście ich ubiory byłyby całkowicie nie na miejscu w lokalu takiej klasy. Ale w Santa Fe dzinsy i bawełniane koszulki uważano za strój wieczorowy.

Ponieważ na obiad Jack zjadł tylko dwie porcje placków, nie zdziwiła się, kiedy razem z kawą na stole pojawiły się *quesadillas*. Jak przystało na tak wytworny lokal, nie był to kawałek żółtego sera zapieczony mię-

dzy dwiema tortillami, tylko wędzona kaczka i trzy gatunki sera, nazwy jednego nawet nie potrafiła wymówić. Dodatki jednak były tradycyjne, a nie na przykład jakiś *guava salsa*.

- Co robisz w święta? - spytał, z wprawą zgarniająca *guacamole* i sos na trójkątny kawałek *quesadilli*.

- Idę do przyjaciółki. - Nałożyła na swój trójkącik placka trochę sosu i kwaśnej śmietany. - A ty? - Jak zareagowałyby Marty, gdyby przyszła z nim? A co ważniejsze, jak ona sama by zareagowała?

- Na Wigilię jadę do Gallup, do siostry i szwagra. - Chyba lepiej, że ma swoje plany na święta, pomyślał Jack. Carla padłaby trupem, gdyby pojawił się na świątecznej kolacji z kobietą. Przypominał sobie, że rodzice Claire nadal mieszkają w Albuquerque. - Czyli nie idziesz do swych starszków?

- Wybrali się w rejs po Karaibach razem z moim bratem i jego żoną. - Przysunęła sobie miseczkę z kwaśną śmietaną. Najwyraźniej Jack niespecjalnie za tym przepada, a nie można pozwolić, żeby się zmarnowało, pomyślała. - Siostra zaprosiła mnie do siebie do San Diego, ale... - zmarszczyła nos - palmy to nie choinki. Poza tym lubię spędzać święta w domu.

- Ja też - mruknął, patrząc, jak Claire zlizuje z palca kroplę kwaśnej śmietany. Uśmiechnęła się wcale nie zmieszana, kiedy się zorientowała, że została przyłapaną. Spojrzał zadumany w stronę holu hotelowego. Był pewien, że nie ma najmniejszej szansy namówienia

jej, by nie wracała dziś wieczorem do domu, tylko przemocowała tutaj.

W chwilę później Claire rozsiała się wygodnie, popijając kawę. Od kominka było przyjemne ciepło, z hotelowego baru, dobiegały melodie jazzowych standardów. Z niechęcią pomyślała o opuszczeniu tego miejsca. Bezwiednie się uśmiechnęła. Przyszła jej do głowy inna możliwość i na tę myśl aż się zakrzuszyła. Starając się opanować, usiadła prosto i dokończyła kawę. Biorąc to za znak, że chce wyjść, Jack wyjął z portfela banknot dwudziestodolarowy.

- Ja dam napiwek - oświadczyła stanowczo i sięgnęła po portmonetkę, którą włożyła do kieszeni kurtki. Widząc jego minę, odstąpiła od swego zamiaru.

- Będzie zamieć - powiedziała, kiedy wyszli z kawiarni.

Jack wciągnął powietrze nosem.

- W nocy spadnie śnieg. Gdzie zaparkowałaś?

- Przy następnej przecznicy.

Zimny wiatr sprawił, że przyspieszyli kroku i w chwilę później Claire już otwierała drzwiczki samochodu. Wiatr hulał między autami. Odwróciła się, by się pożegnać.

Jack postawił jej kołnierz kurtki, a potem położył lekko ręce na ramionach.

- Wracasz do domu boczną drogą?

Claire skinęła głową. Wiatr stał się jakby cieplejszy.

- Będzie szybciej niż szosą międzystanową.

Przyciągnął ją do siebie.

- Pojadę za tobą. To po drodze.

Odniosła wrażenie, że wiatr zupełnie ustał.

- Nadłóżysz jakieś piętnaście kilometrów - stwierdziła. Jej ręce same spoczęły na jego piersi.

- Powiedziałbym, że raczej dwadzieścia - mruknął i przytulił Claire.

Pocałował ją z niezwykłym namaszczeniem, ze skupieniem i żarliwością, z jaką nikt nigdy jeszcze jej nie całował. Otoczył ją ramionami. Odruchowo objęła go za szyję i spleli się w mocnym uścisku. Nie próbował jej zdobyć, raczej zachęcał do kapitulacji. Natychmiast zgodziła się na jego warunki. Przeszedł ją długi, zmysłowy dreszcz. Odnosiła wrażenie, że Jack pociąga ją za sobą w jakąś otchłań. Nie było to uczucie nieprzyjemne lub niepokojące, tylko niezwykle podniecające i niewypowiedzianie słodkie.

Stopniowo do jego świadomości dochodził jakiś dźwięk. Rozpoznał wycie alarmu samochodowego, dobiegające gdzieś z tyłu. Urwało się w pół tonu. A może to był jego własny dzwonek alarmowy, ostrzegający, że jeszcze chwila, a posiadzie Claire na tylnym siedzeniu jej samochodu. Miał nadzieję na przychylne przyjęcie, ale nawet nie marzył o czymś takim. Zbierając całą siłę woli, oderwał się od niej. Niechętnie go puściła.

- Claire - szepnął.

Uniosła wolno powieki i wpatrywała się w niego, lekko uśmiechnięta.

- Jedź ostrożnie. - Pocałował ją szybko i otworzył drzwiczki samochodu.

Skinęła poważnie głową, a potem wsiadła do samochodu.

Kiedy tylne światła jej wozu zniknęły, ruszył szybkim krokiem w stronę swej furgonetki. Przeszedł dwie przecznice, nim sobie przypomniał, że zaparkował wóz cztery metry od jej samochodu.

RS

Rozdział 7

- Myślisz, że nas zasypie? - Claire spoglądała przez okno na wielkie płatki śniegu, wirujące w powietrzu. Zgodnie z przewidywaniami jej i Jacka, tuż przed świtem rozszalała się śnieżycyca, a właściwie gwałtowna zamieć. Pod drzwiami do ogródka wyrosła półmetrowa zaspą. Przed południem wiatr przycichł. Śnieg, padający od kilku godzin, okrył ziemię kilkunastocentymetrową warstwą białego puchu.

Mamie spojrzała na nią spod oka.

- Przykro mi to mówić, ale już jesteśmy zasypane. Żadna z nas nie ma samochodu, który w takich warunkach dojechałby do głównej szosy.

Claire ponuro pokiwała głową. Potwierdziły się jej najczarniejsze obawy.

- Zastanawiałam się któregoś dnia nad kupnem samochodu, z napędem na cztery koła.

Była Wigilia, miały zapewnione białe Boże Narodzenie, ale jakoś wcale jej to nie cieszyło.

Poszła za Mamie, która skierowała się do wyjścia.

- Przykro mi, że nie mogłam nic pomóc.

Mamie chciała skorzystać z telefonu. Dopiero wtedy Claire stwierdziła, że jej aparat też jest głuchy.

- Nie martw się. Za dzień, dwa usuną usterkę. -

Przystanąła, by się przyjrzeć filodendronowi. - Pięknie ci rośnie.

Claire z roztargnieniem spojrzała na kwiatek.

- Tak. Wyglądał już bardzo marnie i nagle dwa tygodnie temu niespodziewanie odżył.

Mamie wciągnęła na głowę kaptur i otworzyła drzwi.

- Na pewno nie chcesz zostać na kolacji, Mamie? Zrobiłam wielki gar zupy jarzynowej.

Claire skrzywiła się, słysząc w swym głosie niemal błagalny ton.

- Nie, dziękuję, moja droga. Zostawiłam w piecyku dwa klopsy, za parę minut będą gotowe.

Mamie żwawym krokiem ruszyła w stronę swego domku. Po przejściu jakichś dwudziestu pięciu metrów przystanąła i zawołała:

- Twoje lampiony prezentują się wspaniale!

Claire podziękowała jej skinieniem ręki. Cały dzień

nosiła się z tym zamiarem, w końcu się zdecydowała i tuż przed zmrokiem wystawiła sześć tuzinów worków z brązowego papieru wypełnionych piaskiem, w które wetknęła świece. Kiwające się płomyki znaczyły podjazd i połowę drogi między jej domem a domem Mamie. Stwierdziła, że rzeczywiście ładnie wyglądają, chociaż ich widok wcale nie sprawiał jej przyjemności. Kiedy Mamie szczęśliwie dotarła do swego domu, Claire odwróciła się, machinalnie zgarnęła śnieg z wiszącego na drzwiach wieńca, uplecionego z kukurydzy oraz czerwonego chili, i weszła do środka.

Znalazszy się w kuchni, podniosła pokrywkę z garnka z zupą, bez szczególnego zapachu skosztowała,

z powrotem przykryła garnek i wyłączyła palnik. Zajrzała do lodówki i stwierdziła, że nie ma w niej miejsca na nic większego niż słoiczek pikli, ale po kilku minutach przestawiania pojemników wygoszparowała trochę wolnej przestrzeni i wstawiła garnek z zupą.

Potem bez celu zaczęła krążyć po domu. W końcu usiadła na kanapie w dużym pokoju. Spoglądała na przystrojoną choinkę, a po policzkach płynęły jej łzy. Mimo najlepszej chęci nie mogła dłużej udawać, że wszystko jest w porządku. Nadeszła Wigilia, a ona była zupełnie sama.

Tamale wskoczył swej pani na kolana i zwinął się w kłębek, pragnąc jej w ten sposób okazać współczucie. Claire jeszcze obficie popłynęły łzy z oczu. Jakby przeprowadzka i praca nie wystarczały, by wypełnić jej czas, przez cały miesiąc chodziła na świąteczne festyny, zajadała się plackami ziemniaczanymi i blinami na święcie Chanuka, zostawała po godzinach i zawijała w kolorowy papier zabawki dla maluchów. Jednym słowem, robiła wszystko, by wypełnić zimną pustkę przytłaczającej samotności. Zaplanowała sobie, że dziś wieczorem pójdzie do kościoła, a potem pospaceruje po mieście. Miała nadzieję, że dzięki tym wszystkim zajęciom nie odczuje, jak bardzo brak jej Emmy. Oczywiście się myliła.

Tamale obrzucił ją zde gustowanym spojrzeniem, zeskoczył z kolan, majestatycznie podszedł do kominka i usiadł, by wytrzeć mokre futerko na czubku głowy. Claire złapała jasięk i przycisnęła mocno do piersi na wypadek, gdyby też miał ochotę od niej uciec.

W końcu zabrakło jej łez, więc tylko pociągała no-

sem. Odłożyła wymiętoszoną poduszkę, wzięła głęboki oddech i otarła policzki wierzchem dłoni. Powinna była wypłakać się kilka tygodni temu i mieć to z głowy, stwierdziła, podnosząc się z kanapy i kierując do łazienki. Tymczasem za każdym razem, kiedy na myśl o tym, że Emma nie przyjedzie, do oczu zaczynały napływać jej łzy, wynajdywała sobie jakieś absorbujące zajęcie. W przerwach pomiędzy ganiem po sklepach i zamienianiem kuchni w kombinat gastronomiczny zaliczyła wszystkie świąteczne imprezy, na które zawsze chodziły z Emmą. Tak jak ktoś, kto po stracie ukochanego małżonka wraca do miejsc, w których byli szczęśliwi. Jakie to wzruszające.

Odkręciła kran, zmoczyła ręcznik w zimnej wodzie, a potem przyłożyła sobie do twarzy. Na litość boską, przecież Emma nie umarła. Ani jej nie porzuciła. Po prostu w tym roku nie przyjechała do domu na święta. Nie było to nic przyjemnego, ale również nie była to tragedia, bez względu na to, jak usilnie starała się tak to widzieć. To nieuniknione, wcześniej czy później każda z nich zacznie żyć swoim życiem. I tak miała szczęście, bo w ich przypadku nastąpiło to później. Spędziły razem dwadzieścia cztery Gwiazdki, spędzą wspólnie jeszcze niejedną, tylko nie w tym roku.

Claire spojrzała w lustro wiszące nad umywalką i zaczęła robić miny do swego odbicia. Miała nadzieję, że Emma zachowuje się bardziej dojrzałe od swej matki. Jeszcze kilka razy przyłożyła do twarzy wilgotny ręcznik i w końcu znów zaczęła wyglądać mniej więcej normalnie. Wieszając ręcznik, zobaczyła, że Tamale stoi w progu i obserwuje ją uważnie.

- No, kotku, zobaczymy, co dziś na obiad - powiedziała w miarę pogodnie. Teraz, kiedy odzyskała zdolność logicznego myślenia, miała do rozwiązania inny, znacznie poważniejszy problem. Nie zamierzała się jednak nim zajmować z pustym żołądkiem.

Razem z Tamale sprawdzała zawartość lodówki, kiedy nagle zgasło światło. Claire uświadomiła sobie, że to nie żarówka; wyłączono prąd. Mamie ostrzegła ją, że kiedy zerwana jest łączność telefoniczna, zazwyczaj wyłączają też światło.

Było pochmurno, przez okno nie wpadał blask księżyca i w kuchni zapanowały egipskie ciemności.

- Au! - krzyknęła, uderzywszy biodrem o stół. Kiedy natrafiła kolaniem na futrynę drzwi, wiedziała, że idzie we właściwym kierunku. Posuwając się wolno i macając przed sobą rękami, natknęła się w końcu na suszarkę. Przesunęła dłonią po ścianie, aż znalazła latarkę, wetkniętą do kontaktu.

Wyciągnęła z garażu zapasowe pudełko świec. Były wielkości gromnic i idealnie pasowały do słoików po galaretce. Wkrótce pół tuzina stało na blacie kuchennym. Zapaliła dwie, wyłączyła latarkę i uśmiechnęła się na widok łągodnego, żółtego światła.

Porozstawiała świece w całym domu: jedną w sieni, jedną w łazience, cztery w dużym pokoju. Świece starczały na dziesięć godzin, miała ich dwa tuziny, więc doszła do wniosku, że może sobie pozwolić na taką ekstrawagancję. Z przyjemnością patrzyła, jak w choinkowych ozdobach odbijają się płomienie pełgające po szczapach na kominku i światło świec.

Kominek będzie musiał zapewnić coś więcej niż mi-

łe doznania estetyczne. Brak prądu oznaczał brak ogrzewania. Na szczęście, nie mając zaufania do prognoz, zapowiadających na najbliższy tydzień ładną pogodę, zgromadziła w garażu kilka taczek drewna, aby mieć pewność, że nie zabraknie jej opału. Tak długo, jak będzie płonął ogień na kominku, w domu powinno być wystarczająco ciepło. Nagle przypomniała sobie o Mamie. Chociaż w jej domu też był kominek, Mamie nie miała ani odrobiny opału - był to efekt jej oszczędności, do których była zmuszona przez ostatnie kilka lat.

Pięć minut później świecąc sobie latarką, brnęła zasnieszoną dróżką do domu Mamie. Rozmyślając o staruszcze, zaczęła się zastanawiać nad jej sytuacją finansową, co przypomniało jej o problemie, którym zamierzała się zająć po kolacji. Na litość boską, miała przecież prawie pięćdziesiąt lat! Gdyby zdecydowała się związać z jakimś mężczyzną, miałyby to być coś spokojnego, wygodnego, przyjemnego, nic zbyt podniecającego czy absorbującego... jednym słowem dojrzały związek. Z całą pewnością nie spodziewała się, że jest tak samo zdolna do miłości, podniecenia, emocji i robienia z siebie idiotki jak wtedy, kiedy miała dwadzieścia lat.

Miłość? Teraz jest do niej bardziej przygotowana, pomyślała z ironią. Mając dwadzieścia lat, była zbyt młoda, by wiedzieć, czym jest właściwie miłość. Jako dwudziestolatka nigdy nie doznała podczas pocałunku poczucia zagubienia i utraty kontaktu z rzeczywistością. Choć trudno to sobie wyobrazić, zapomniała, że stała na ciemnym, zimnym, wietrznym parkingu; pra-

wdę mówiąc, nie pamiętała, jak z niego wyjechała ani jak pokonała pierwsze piętnaście kilometrów drogi powrotnej do domu. A wszystko sprawił pocałunek... obezwładniający, oszalamiający pocałunek.

Prawdopodobnie nie pamiętałyby również reszty drogi do domu, gdyby nie dostrzegła w tylnym lusterku świateł pewnej furgonetki. Jack jechał za nią aż do wylotu dolinki. Podejrzewała, że zaparkował na poboczu i czekał, póki nie ujrzał w oknach jej domu światła.

Zgoda, kochała go! - poddała się. Myśl ta zagnieździła się w jej głowie i chociaż próbowała udawać, że jej tam nie ma, nie mogła się dłużej oszukiwać. Nie było co się wypierać, zakochała się w Jacku do szaleństwa. Świadomość tego nie wywołała u niej zgrozy, oburzenia czy poczucia winy; była podekscytowana.

Skręciła na podjazd do domku Mamie i wtedy doszedł do głosu zdrowy rozsądek. Po pierwsze przypomniała sobie Suzi, koleżankę z pracy, która ostatnio poślubiła pierwszego faceta, który zainteresował się nią poważnie po tym, jak rok temu się rozwiodła. Szczerze przyznała, że poślubiła mężczyznę, którego nie kochała, ponieważ była przekonana, że w jej wieku - była dwa lata młodsza od Claire - nie będzie miała drugiej szansy, a nie chciała przez resztę życia zostać sama. Claire uznała ten przykład za niewłaściwy. Przecież jej nie rzucił mąż dla młodszej. Poza tym ona rozeszła się w wieku trzydziestu kilku lat, a nie po czterdziestce. Przez te lata niejeden mężczyzna miał wobec niej poważne zamiary, tylko ona nie była nikim zaintere-

sowana aż do tej pory. Nie można wprawdzie wykluczyć, że podświadomie uznała, iż Jack Herrod może być tym ostatnim, więc lepiej, jak się go uczepli. Emma po raz pierwszy nie przyjechała do domu na święta i musiała w końcu pogodzić się z faktem, że jej córka dorosła i na dobre opuściła dom. Zawsze pozostaną sobie bardzo bliskie, ale każda będzie żyła własnym życiem. To zupełnie naturalne, pomyślała gorzko Claire, ale wcale nie oznacza, że nie będzie odczuwała w środku wielkiej pustki, przynajmniej przez jakiś czas. Czy miał ją wypełnić Jack?

Jakby tego było mało, przypomniwała sobie starą, rodzinną historię. Jej cioteczna babka Rose nie wyszła za mąż w młodości, nigdy nie przejawiała najmniejszej ochoty, by to uczynić, woląc stworzyć z niczego świetnie prosperującą firmę, co w owych czasach było niezwykłym pomysłem na życie. Ciotka Rose, zatwardziała stara panna, będąc dokładnie w jej wieku, mając kwitnącą firmę, ustawiona finansowo do końca życia - poślubiła mężczyznę, którego poznała sześć tygodni wcześniej. Pamięta, jak jej babka i matka mówiły, spoglądając na siebie znacząco, że to wszystko efekt wkroczenia w okres „zmiany”. Przez długie lata nie rozumiała, co miały na myśli. Czy Jack był też taką miłością, ostatnim krzykiem hormonów, patetyczną próbą udowodnienia, że wciąż jest kobietą?

Gdyby nie wynajdywała sobie różnych zajęć, żeby tylko nie myśleć o nieobecności Emmy, wcześniej uświadomiłaby sobie, jak bardzo zaangażowała się w znajomość z Jackiem, i mogłaby się zastanowić, czemu wszystko potoczyło się tak szybko. Czy w jej

wieku takie rzeczy nie powinny przebiegać wolniej, bardziej... statecznie? Tymczasem od razu poczuła do niego sympatię, od początku wydał jej się pociągający, co prawdopodobnie tłumaczyło, dlaczego równie gwałtownie się na niego rozgniewała. Ta złość nie była spowodowana wyłącznie sprawą Mamie; była zła na siebie, ponieważ tak bardzo się nim rozczarowała.

Znowu mrugnęła, żeby strącić płatek śniegu. Nie poskutkowało, więc strzepnęła go ręką. Gdyby ostatniego wieczoru zaproponował pójście do hotelu... to co? Chciała wierzyć, że nie zgodziłaby się, ale w gruncie rzeczy nie mogła przysiąc. Musiała przemyśleć, co ma zrobić, zanim uczyni coś, czego będzie żałowała do końca życia. Nie należała do kobiet lubiących romanse, a już z pewnością nie była amatorką szybkich, krótkich przygód miłosnych.

Z ulgą pomyślała, że nie ma teraz czasu, żeby podejmować jakieś decyzje.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jak tylko zapukała.

- Mamie, chcę, żebyś przeniosła się do mnie, póki nie włączą prądu, i to bez dyskusji - oświadczyła bez żadnego wstępu.

- Wcale nie zamierzam dyskutować - odpowiedziała Mamie. - Chodźmy.

Zauważyła, że Mamie była już w butach i skafandrze. Uświadomiła sobie, że staruszka szykowała się do pójścia do niej.

Wróciły po śladach Claire.

- Czyż nie jest ślicznie? - powiedziała Mamie

przyciszonym głosem, który i tak zabrzmiał dziwnie głośno.

- Rzeczywiście - przyznała Claire, widząc to, czego nie zauważyła wcześniej, zbyt pochłonięta swoimi myślami.

Powietrze było nieruchome, nie wiał nawet najmniejszy wietrzyk, ciszę zakłócały jedynie odgłosy ich kroków, tłumione przez śnieg. Skierowała światło latarki w górę. Z ciemności wynurzały się wielkie płatki śniegu i bezszelestnie opadały na ziemię. Temperatura była minusowa, ale przy braku wiatru nie odczuwało się zimna. Nawet lodowate pocałunki płatków padających na policzki nie sprawiały jej przykrości. Światło latarki oświetlało zbocze doliny, ukazując pinie i jałowce w grubych gronostajowych czapach.

Mamie roześmiała się cicho.

- Twoje lampiony wyglądają jak strzała, wskazująca drogę prosto do domu.

Claire spojrzała przed siebie i też się roześmiała. Z pewnej odległości lampiony, ustawione przy drodze, rzeczywiście przypominały ostrze strzały: te wzdłuż podjazdu tworzyły głowę, a kilka prowadzących do ganku - grot. Zdumiewające, że żaden nie zgasł. Pomyślała, że widocznie opady śniegu nie są takie intensywne.

Przed drzwiami otrzepały się z białych płatków i weszły do środka. W domu wydawało się aż za ciepło, ale Claire i tak dorzuciła do kominka kilka polan. Wprawdzie panowały ciemności, ale było dopiero wpół do siódmej. Temperatura na zewnątrz może jeszcze się obniżyć, szczególnie gdy się rozchmurzy.

- Oglądałam akurat wiadomości, kiedy wyłączyli światło. Policja stanowa zamknęła drogę w kanionie

- powiedziała Mamie.

Wiadomość specjalnie jej nie zdziwiła. Nie przejęła się też tym, że czasowo były odcięte od świata:

- Powiedzieli, jak długo jeszcze potrwa zamieć?

- Synoptycy zakładają, że do jutra - odparła Mamie z przekąsem.

Śmiech Claire zagłuszył burczenie w jej brzuchu. Jej organizm nie zapomniał o obiedzie.

- Jadłaś już obiad? Zamierzam...

Za oknami błysnęły nagle jasne snopy światła. Reflektory samochodu, uświadomiła sobie w chwilę później Claire, słysząc warkot silnika. Nim ucichł, już stała pod drzwiami.

Aby nie wychłodzić domu, otworzyła je dopiero, kiedy przybysz stanął na ganku. Sprawdziła przez wizjer, kim był gość, ale mimo to nie zdołała ukryć zdumienia w głosie.

- Myślałam, że pojechałeś dzisiaj do siostry do Gallup.

Jack wszedł do środka.

- Pojadę rano. - Zobaczył w pokoju Mamie. - Wszystko u was w porządku? Wasze telefony są głuche.

- Dajemy sobie radę - odpowiedziała mu Mamie.

- Jak przekonał pan policję, by pozwoliła panu wejść do kanionu?

- Powiedziałem, że mieszka tu moja rodzina. Puścili mnie, bo mam samochód z napędem na cztery koła.

Claire dostrzegła, że wzruszył ramionami, ale spojrzenie, które jej rzucił, znów wywołało u niej uczucie, którego doznała, kiedy otarł się o nią w wąskim pomieszczeniu gospodarczym. Tylko w jeden sposób mógł się dowiedzieć o tym, że ich telefony nie działają: dzwoniąc do nich. Kiedy nie uzyskał połączenia, przełożył wyjazd do Gallup, by sprawdzić, co słychać u jego „rodziny” w dolinie. Poczula w całym ciele falę ciepła.

- Jadłeś już? Właśnie miałam...

Znów przerwał jej warkot silnika.

- Wydawało mi się, że widziałem za sobą światła samochodu - mruknął Jack, otwierając drzwi. Zerkając mu przez ramię, Claire zobaczyła samochód z przyczepą zatrzymujący się za jego furgonetką.

W chwilę później wysiadła z nich starsza para.

- Jesteśmy Wally i Stella Shepherd - przedstawił ich mężczyzna.

To prawda, że ludzie po latach wspólnego życia upodabiają się do siebie, pomyślała Claire, powstrzymując uśmiech. Oboje byli wysocy, szczupli i lekko pochyleni, nosili okulary w metalowej oprawce i mieli siwe włosy. Nawet ubrani byli podobnie w spodnie koloru khaki i granatowe płaszcze.

- Jestem Jack Herrod, a to Claire - powiedział Jack, kładąc lekko rękę na jej ramieniu. - A to jest Mamie Bonnett. - Skinął w kierunku Mamie. - Mieszka w domu obok.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, kobiety poprzestały na wymianie uśmiechów.

- Boże, ale się ucieszyliśmy, widząc te światła. Już

od jakiegoś czasu jechaliśmy w zupełnych ciemnościach. Nagle wynurzyły się, wskazując niczym strzała państwa dom.

Wally Shepherd uśmiechnął się do nich obojga i Claire uzmysłowiła sobie, że mężczyzna wziął Jacka za jej męża. Nic dziwnego, pomyślała cierpko. Jack, przedstawiając ją, przemilczał jej nazwisko.

Spojrzała na niego zamyślona. Mamie roześmiała się na uwagę o strzale, a potem spytała:

- Myśleliśmy, że kanion jest zamknięty. Czyżby policja otworzyła drogę?

- Chyba coś im się poplątało - odpowiedziała Stella Shepherd. Głos miała zdumiewająco podobny do głosu męża. - Staliśmy już jakiś czas i właściwie zamierzaliśmy zawrócić i spróbować znaleźć jakiś nocleg w Moriarty, kiedy poinformowano policję, że warunki uległy poprawie. Zaczęli więc puszczać samochody. - Wzruszyła lekko ramionami. - Okazało się, że przedwcześnie.

- Droga jest zupełnie oblodzona - wtrącił jej mąż. - Czy pozwolą państwo, że do rana zaparkujemy na podjeździe? Jutro powinni otworzyć drogę dla ruchu.

- Ależ naturalnie - powiedziała Claire. - I wcale nie muszą państwo nocować w samochodzie. Mamy w domu dosyć miejsca dla wszystkich. - My? Teraz i ona zaczęła tak mówić.

Stella i Wally pokręcili jednocześnie głowami. Claire wiedziała, że mężczyzna przemówił tylko dlatego, że akurat na niego patrzyła.

- Bez problemu możemy przenocować w naszej przyczepie. Jest wyposażona w piecyk. Jednak z przyjemnością skorzystamy z prawdziwej łazienki.

- Ależ oczywiście. Może wstąpią państwo na chwilkę? - Poczwała, że Jack lekko ścisnął jej ramię.

- Dzięki - powiedział Wally, pomagając żonie zdjąć płaszcz. - Mogą państwo mieć więcej gości - dodał. - Zdaje się, że za nami jechał jeszcze jeden samochód.

Rozległ się warkot silnika. Mamie zaprowadziła Shepherdów do pokoju, a Claire z Jackiem zostali w sieni. Gdy tylko usłyszeli nadjeżdżający samochód, położył rękę na klamce, dając do zrozumienia, że znów on będzie tym, który otworzy drzwi. Dotarło do niej nagle, co nim powodowało. Chciał się upewnić, że przybysz ma pokojowe zamiary. To był jej dom, świetnie potrafiła sama sobie radzić, ale nie miała do niego pretensji. Powodowała nim nie męska próżność, lecz troska. Cieszyła się, że nadal niektórzy mężczyźni uważali za swój obowiązek chronić kobiety przed niebezpieczeństwem.

Nowymi przybyszami okazało się młode małżeństwo, chociaż widać było, że wkrótce rodzina się powiększy.

- Rety, ale się ucieszyliśmy, kiedy zobaczyliśmy te światła - powiedział ciemnowłosy młodzieniec, pomagając żonie wejść do domu. - Już myślałem, że spędzimy całą noc gdzieś w rowie, gdy nagle dostrzegłem tę strzałę.

Jack ponownie dokonał prezentacji, znów pomijając jej nazwisko. Zorientowała się, że podobnie jak ona z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Nowymi gośćmi okazali się Joel i Marion Duda. Claire wskazała im drogę do pokoju.

Chciała pójść za nimi, ale Jack przytrzymał ją lekko. Patrzył to na młodych, których Mamie przedstawiała Shepherdom, to na nią.

- Hmm, Joel i Marion... niemal jak Józef i Maria. Mam nadzieję, że mają ze sobą podręcznik dotyczący porodów metodą naturalną.

- Ja też - powiedziała szeptem, powstrzymując śmiech. - Dobrze, że jest z nami Mamie.

Staruszka, mijając ich z płaszczami nowo przybyłych, energicznie potrząsnęła głową.

- Znam się wyłącznie na przewijaniu, nie przyjmuję porodów.

Spojrzeni na nią, potem na siebie, po czym zaczęli chichotać.

W końcu Jack nabrał głęboko powietrza do płuc, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Jak stoimy z drewnem? Czy mam przynieść trochę z dworu i zacząć je suszyć?

Claire potrząsnęła głową.

- Mam cały garaż chrustu.

- Zuch dziewczyna. - Poklepał ją po ramieniu. -

W takim razie chyba przyniosę trochę i położę obok kominka, żebym nie musiał całą noc krążyć tam i z powrotem.

Claire patrzyła na niego rozbawiona. Kobiety nie akceptujące mężczyzn w roli opiekunów bez wątplenia skrzywiłyby się również na tę „zuch dziewczynę”.

Z całą pewnością nie zrozumiałyby też uczucia śmiesznego zadowolenia, jakie ogarnęło Claire, gdy usłyszała tę zdawkową pochwałę. I prawdopodobnie obruszyłyby się na to klepięcie, które jej zdało się naj-

czulszą pieśczęcią. No i jeszcze to oczywiste założenie, że spędzi u niej noc. Musiał wiedzieć, że w domu pełnym ludzi nie ma szans na to, by dzielić z nią łóżko. Czyli nie dlatego postanowił zostać. Nie mieli okazji o tym porozmawiać, ale zdecydowała, że nie będzie się sprzeciwiała - zresztą nie było czasu na ceregiele.

- Dobrze - powiedziała. - A ja tymczasem przygotowuję naszym gościom coś do picia.

Byli w połowie korytarza, prowadzącego do kuchni i garażu, kiedy dobiegł ich warkot samochodu. Spojrzeli na siebie.

- Mamy już pasterzy, Józefa i Marię - mruknął Jack, kierując się w stronę drzwi. - Brakuje nam tylko chórow anielskich.

- Czy to chóry anielskie? - spytała żartobliwie, stojąc tuż za nim, kiedy otworzył drzwi.

- Niezupełnie - powiedział. Głos miał nieco dziwny. Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Jak to „niezupełnie”?

Bez słowa otworzył szerzej drzwi, by sama zobaczyła. Rzeczywiście, nie był to chór anielski - pomyślała, ledwo wierząc własnym oczom. Na podjeździe stał minibus, z którego nagle wyskoczyło sześć aniołów ze skrzydłami i aureolami.

Rozdział 8

- Mieliśmy wystąpić z jasełkami w szpitalu dla weteranów - wyjaśniała Ruth Mora wszystkim zebranym w dużym pokoju. Jack przyglądał się sześciu dziewczynkom, siedzącym na podłodze u jej stóp, i z powagą przytakującym słowom kobiety. Ruth Mora już zdążyła powiedzieć, że jest nauczycielką w szkółce niedzielnej przy kościele w Moriarty. Połowa klasy była w jej samochodzie. Druga połowa jechała przed nimi i najwidoczniej przejechała bez problemów.

Jack rzucił Claire porozumiewawcze spojrzenie. Jednocześnie pomyśleli o tym samym.

- Wiecie co - oświadczyła - z powodu burzy nie poszłam na jasełka. I założę się, że nikt z pozostałych tu obecnych nie widział w tym roku jasełek. - Shepherdowie, państwo Duda, Mamie i Jack przyznali jej rację. - Może wystąpiłybyście dla nas?

Dziewczynki spojrzały błagalnie na nauczycielkę, ale po chwili jedna z nich zauważyła:

- Tylko że nie ma wszystkich. Chłopcy byli pasterzami, a dwoje uczniów z czwartej klasy grało świętego Józefa i Matkę Boską.

Aniołki pokiwały główkami.

- Cóż, ostatecznie nazywamy się Shepherd - powiedział Wally. - Będziemy pasterzami.

- A nasze imiona brzmią niemal tak samo jak Józef i Maria, spodziewamy się dziecka, więc odegramy świętą rodzinę - oświadczyła Marion Duda, a jej mąż Joel skinął głową z aprobatą.

Piątka aniołków rozpromieniła się, ale nie miała mal-kontentka.

- A kim będą państwo Herrod? - zapytała.

Brzdąc miał zadatki na dobrego prawnika, doszedł do wniosku Jack. Claire spojrzała na niego spod oka, ale nie poprawiła dziewczynki. Nie poczuwał się do najmniejszej winy, że przedstawiając Claire pominął jej nazwisko. Zawsze od pierwszej chwili, była dla niego po prostu Claire. Musiał jednak przyznać, że „Claire Herrod” świetnie brzmiało/Skrywając uśmiech, odpowiedział w imieniu ich obojga:

- Będziemy właścicielami stajenki, w której zatrzymali się Matka Boska i święty Józef.

- A ja będę owieczką - dodała Mamie z poważną miną.

Widocznie te odpowiedzi były zgodne z logiką siedmiolatkij ponieważ dziewczynka akceptująco skinęła głową.

W Betlejem dziecina święta
Wznosi w górę swe rączęta,
Błogosławi lud.

Kiedy ucichły głosy aniołków, Claire dostrzegła na twarzach dorosłych ciepłe uśmiechy. Przedstawienie było nieskomplikowane, oparte na tekście Ewangelii świętego Łukasza, wzbogacone starymi, znanymi ko-

lędami. Nieraz widziała jasełka, większość z nich była niezwykle wymyślna, z bogatą scenografią, z udziałem chórów, solistów, orkiestr, towarzyszyły im specjalne nabożeństwa. Żadne jednak nie wywarło na niej większego wrażenia niż dzisiejsze, choć odegrano je przy świetle świec umieszczonych w słoikach, kolędy śpiewały niekształcone głosy, operowano prostymi cytatami z Biblii. Poczuli, że mężczyzna siedzący obok niej lekko musnął jej dłoń. Uniosła wzrok i ujrzała najcieplejszy, najdelikatniejszy uśmiech, jaki zdarzyło jej się kiedykolwiek widzieć.

Aniołki odpięły skrzydła, zdjęły aureole i znów stały się małymi dziewczynkami. Głodnymi dziewczynkami, sądząc po dobiegających ją szeptach. Przeprosiła obecnych i poszła do kuchni. Wprawdzie nie mają prądu i łączności telefonicznej, ale nie mogą narzekać na brak jedzenia, pomyślała.

Kiedy wyciągała z szafki jednorazowe talerze i papierowe serwetki, usłyszała, że ktoś wszedł do kuchni. Od razu się domyśliła, kto to taki.

- Czy znajdziesz dość jedzenia dla czternastu osób?
- spytał, rozkładając talerze.

Zaczęła otwierać pudełka, stojące na blacie. Miała przynajmniej pół tuzina rozmaitych herbatników, biszopcików, pierniczków, ciasteczek orzechowych i wafelków. Potem otworzyła lodówkę.

- Dobry Boże - powiedział tylko.

- Emma nie przyjeżdża do domu - mruknęła

Claire, jakby się usprawiedliwiała.

- Rozumiem - odrzekł z czułym uśmiechem, który świadczył, że rzeczywiście rozumiał.

Kilka godzin później znów krzątała się w kuchni, sprząając po wigilijnej uczcie. Wszyscy prześcigali się w opróżnianiu zawartości pudełek i lodówki. Marion Duda jadła za dwoje, jej mąż, sądząc po apetycie, chyba spodziewał się trojaczków. Claire uśmiechnęła się sama do siebie. Teraz już prawie wszyscy spali, Shepherdowie w swojej przyczepie, państwo Duda w jej łóżku, Mamie w pokoju Emmy, Ruth Mora na kanapie, a dziewczynki na prowizorycznych posłaniach w dużym pokoju. Ona z Jackiem będą musieli zagrać w marynarza o miejsce na materacu w pokoju gościnnym, pomyślała ziewając.

Spotkała go w drzwiach, kiedy wychodził z dużego pokoju, sprawdziwszy po raz ostatni ogień na kominku. Gdy dziewczynki układały się do snu, dołożył drewno, by nie zmarzły w nocy. Claire pomyślała z ulgą, jak dobrze, że Jack tu jest; nie opanowała jeszcze trudnej sztuki palenia w kominku.

W końcu pojawił się i Tamale. Uświadomiła sobie, że musiał mieć jakieś przykre doświadczenia z dziećmi, bo na dźwięk cienkich głosików dziewczynek przepadł bez śladu. Teraz, kiedy już nic mu nie groziło, wrócił. Nie ukrywając swego niezadowolonia, przyglądał się obcym, śpiącym w dużym pokoju.

Wyciągnął się przed kominkiem. Dzwoneczki, które przywiązała mu do obróżki, zadźwięczały wesoło.

Jedna z dziewczynek poruszyła się i wymamrotała przez sen:

- Święty Mikołaj?

Jack roześmiał się cicho.

- Szkoda, że nic nie mamy, żeby przygotować im drobne upominki.

- Szkoda - mruknęła. Nagle złapała go za rękę, zaciągnęła do korytarza i szepnęła podniecona: - Mam trochę kolorowych skarpet, chyba znajdzie się dość słodyczy i drobiazgów do ich napelnienia.

W chwilę później siedzieli przy kuchennym stole oświetlonym kilkoma świeczkami. Przed nimi leżała sterta starych skarpet, resztki słodyczy po święcie Halloween i torba jabłek. Jack wziął do ręki frotową, wściekle różowofioletową podkolanówkę z małą dziurką na pięcie.

- Emmy? - spytał.

- Moja - odparła z godnością, a potem uśmiechnęła się. Wygrzebała drugą od pary i popatrzyła na nią w zadumie.

- Wiesz, fajnie byłoby przygotować upominki również dla dorosłych.

- Nie mamy z czego - zwrócił jej uwagę. Skinęła głową rozczarowana, ale Jack dodał wolno: - Mam w samochodzie torbę orzeszków ziemnych, a w skrzynce na narzędzia z pewnością znajdę jakieś drobiazgi.

Spojrzała na niego oczami błyszczącymi jak u dziecka. Musiał upomnieć się w duchu, że jeszcze za wcześnie myśleć o tym, kiedy będzie się mógł tu wprowadzić.

- Założę się, że znajdę w spizarni coś odpowiedniego - powiedziała.

W chwilę później rozłożyli na stole swoje skarby. Claire spojrzała krytycznie na to, co przyniósł Jack.

- Orzeszki i śrubki? - spytała z powątpiewaniem.
- Śrubki zawsze się przydadzą - oświadczył stanowczo Jack i nie chcąc pozostać dłużny, zapytał:
- Jakim cudem masz trzy zapasowe szczoteczki do zębów?

- Dostaję je od swojej dentystki. Używam innych, ale... - wzruszyła ramionami - nie lubię niczego wyrzucać.

Minęło kilka chwil, nim zrozumiała, czemu się nagle uśmiechnął. Przyjrzała mu się badawczo. Myślała, że trzyma kilka zapasowych szczoteczek dla niespodziewanych gości?

- Lepiej przygotujmy upominki i dla siebie, żeby dzieciaki nie zaczęły czegoś podejrzewać. - Wyciągnął ze stosu granatową skarpetkę. - Czy masz jakieś specjalne życzenia?

- Hmm... poproszę pomarańczę, parę twoich bandaży, jedno z tych hotelowych mydełek, garść orzeszków i gumę do żucia. - Wzięła jedną z różowofioletowych podkolanówek. - A ty co chciałbyś dostać pod choinkę?

- Drugą skarpetkę do pary - mruknął. Roześmiała się. - Pomarańczę, szczoteczkę do zębów, kilka tych ściereczek do rąk, orzeszki i parę lizaków - ale nie o smaku winogronowym. Nie lubię winogron.

Poważnie skinąwszy głową, nappełniła jego skarpetkę.

- Jeśli mamy to zrobić jak należy, powinniśmy przynajmniej niektóre drobiazgi ładnie zapakować.

Wyszła z kuchni i po kilku chwilach wróciła z rolką papieru, taśmą, nożyczkami i szpulką wstążeczki.

Przypuszczała, że jej przypadnie zawijanie upominków, bo mężczyźni na ogół tego nie potrafią. Ale kiedy zobaczyła, jak Jack owija w papier małą buteleczkę z szamponem i robi zgrabną kokardkę, nie kryła podziwu. Widocznie nauczył się tego dla syna.

Była prawie druga nad ranem, kiedy położyli pod choinką upominki, opatrzone karteczkami z imieniem obdarowanego. Jack patrzył, jak Claire pochyla się nad każdym śpiącym dzieckiem, nakrywa je kocem, opatula. Oto matka, o jakiej marzył dla swego syna. Teraz było już na to za późno, ale może zostać - zostanie babcią dzieci Gary'ego.

Poszli każde do innej łazienki i spotkali się w pokoju gościnnym. Claire spojrzała na materac z dwiema płaskimi poduszkami i małym kocem, jedynym, jaki został. Będą musieli spać blisko siebie, żeby nie zmarznąć, szczególnie że ten pokój znajdował się najdalej od kominka. Nie byli jednak przecież nastolatkami, w których szaleją hormony. Poza tym położą się w ubraniach, jak wszyscy - ona w legginsach i bluzie, on w dżinsach i swetrze. Nie było powodu, dla którego nie mogliby dzielić materaca jak dojrzały ludzie, którymi byli, i po prostu usnąć. Poczwała coś jakby rozczarowanie.

Odwinął koc, usiadł na materacu, ściągnął buty i spojrzał na nią.

- Z prawej czy z lewej? - spytał uprzejmie.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi. Minęła minuta, nim uświadomiła sobie, że pyta, z której strony materaca woli spać.

- Och! Chyba z... prawej.

Lewa strona była pod ścianą, więc przeszedł po materacu, położył się na wznak, naciągnął koc i zamknął oczy.

- Nie zapomnij zgasić świeczki - powiedział sennym głosem.

- Nie, nie... nie zapomnę - odparła, zastanawiając się, czy jej głos zabrzmiał tak głupio, jak się czuła.

Jack starał się zachować kamienną twarz. Jej mina warta była wszystkich skarbów świata. Gdyby nie ten pocałunek ostatniego wieczoru, mógłby pomyśleć, że Claire jest niezadowolona, iż przyszło jej dzielić z nim łóżko. Lecz to nie było niezadowolenie, tylko mieszanina pożądania, zdenerwowania i zmęczenia. Wiedział, bo czuł to samo. Nie wątpił, że wystarczyłoby kilka pocałunków, by zapomnieli o zmęczeniu, ale nie chciał kochać się z nią pierwszy raz w domu pełnym obcych ludzi, którzy za kilka godzin zaczną się budzić. Pragnął być z nią sam na sam przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny, a jeszcze lepiej przez czterdzieści osiem. Chciał też, by zyskała absolutną pewność, bo wyczuwał, że jeszcze nie jest gotowa. Może poczekać? tym bardziej że ogarnęła go przemożna senność.

Claire podciągnęła koc pod samą brodę i leżała, bojąc się poruszyć. Nagle Jack przekręcił się na bok, objął ją i pocałował.

- Dobranoc - wymamrotał i po chwili już spał. A więc to jednak prawda, pomyślała ze smutkiem.

Byli dojrzały, tak dojrzały, że ich pożądanie też się zestarzało i osiągnęło punkt, w którym ludzie wolą spać niż się kochać.

Claire budziła się wolno z pięknego snu o ośmiornicy. Kiedy bardziej oprzytomniała, uświadomiła sobie, że ośmiornice są zazwyczaj bohaterkami koszmarów sennych. Tymczasem ta oplotła ją mocno, ale była ciepła i miła, miała długie, cienkie macki i pachniała słabo old spice'em. A nazywała się - nagle oprzytomniała do końca - Jack Herrod.

- Wiesz, że chrapiesz? - szepnął jej do ucha.

Przekręciła się na bok i spojrzała na niego.

- Nieprawda!

- Owszem, chrapiesz. - Pocałował ją w nos. - Bardzo cichutko... - musnął jej usta - ... i podniecająco. - Pocałował ją, a ona objęła go za szyję. Uśmiechnęła się. Cóż za bzdury przysły jej wczoraj wieczorem do głowy o pożądaniu, które przeminęło? Nic w nich nie przeminęło. Wyciągnęła rękę i zrobiła to, co pragnęła uczynić od pierwszej chwili, kiedy go ujrzała: dotknęła jego włosów. Okazało się, że są miękkie jak jedwab. Głaskał ją delikatnie, aż poczuła w całym ciele przyjemne odprężenie.

- Patrzcie, patrzcie! W nocy przyszedł Święty Mikołaj! - dobiegły ich z pokoju głosy dziewczynek.

Oderwali się od siebie. Jack przycisnął czoło do jej skroni i westchnął głęboko. Roześmieli się bezradnie.

- Wesółych Świąt - szepnął.

- Wesółych Świąt.

Zanim ją wypuścił z objęć, pocałował ją jeszcze raz.

- Kocham cię, Claire.

Rozdział 9

Powietrze było niezwykle rześkie. Wciągnął je w płuca, wdychając zapach jałowca, płonącego z trzaskiem na środku placu w indiańskim pueblo. Ścisnął jej dłoń. Ruszyli przed siebie, śnieg skrzypiał pod butami. Przed nimi wznosił się czterystuletni kościół, którego ciemny kontur odznaczał się ostro na tle szarzejącego nieba. Drewniany krzyż błogosławił rozciągające się poniżej pueblo. Na rogu ulicy ustawiono olejak. Jack zatrzymał się i przytulił Claire. Stał bez ruchu, chłonąc ciepło, bijące od pieca i od jej ciała.

Była dziś niezwykle małowówna. Wcale by się nie zdziwił, gdyby nie przyjęła jego zaproszenia. Jack przyznał w duchu, że wczoraj nie najlepiej wybrał sobie moment na miłosne wyznanie. Wiedział o tym, ale słowa po prostu same mu się wymknęły. Zrobiła zdumioną minę, lecz nic nie powiedziała. Na szczęście akurat wstawał, więc mógł jak gdyby nigdy nic wyjść z pokoju. Zupełnie jakby, pomyślał ironicznie przysuwając się odrobinę bliżej, powiedział jej „dzień dobry”.

Claire obserwowała tłum zbierający się wokół placu. Wczoraj mniej więcej o tej porze włączyli światło i telefon, akurat kiedy wszyscy byli pochłonięci odpakowywaniem prezentów. Uśmiechnęła się blado. Wally Shepherd ucieszył się jak dziecko na widok mutry

i śrubki, którą znalazł na dnie swojej skarpetki. Po-
stanowił wykorzystać je do przykręcenia obluzowanej
tablicy rejestracyjnej. Zarząd dróg odśnieżył szosę mię-
dzystanową. Goście zjedli to, co pozostało z poprze-
dniego wieczoru, i zaczęli się rozjeżdżać. Państwo Du-
da obiecali, że przyślą kartkę z informacją, co im się
urodziło. Jack też pojechał. Śnieg stopniał na tyle, że
Claire mogła wybrać się swym samochodem do Marty.
Po drodze odstawiła Mamie na świąteczny obiad do
znajomych. Kiedy wróciła do domu, wysłuchała wia-
domości od Jacka, zostawionej na automatycznej se-
kretarce. Zapraszał ją na świąteczny festyn w indiań-
skim pueblo. Po jego porannych oświadczeniach - na
które nie zareagowała - rozważała odpowiedź odmow-
ną. Jednak wczoraj po jego wyjeździe ogarnęła ją dziw-
na samotność, różna od tej, którą odczuwała w związ-
ku z nieobecnością Emmy, ale równie dotkliwa. Nadal
nie wiedziała, co postanović.

Dźwięk dzwoneczków i monotonne, głuche dudnie-
nie bębnów dobiegające z oddali zwiastowały początek
występów. Muzyka stawała się coraz głośniejsza,
w miarę jak tancerze zbliżali się wąskimi, krętymi uli-
czkami. W końcu na placu pojawił się długi korowód.
Zorientowała się, że rozpoczną swój występ od tańca
żółwia. Pierwsze promienie słońca odbijały się
w barwnych nakryciach głów z piór papug. Grzechotki
ze skorup żółwi podkreślały rytm melodii wybijanej
stopami tancerzy, okrążających ognisko. Wiedziała,
o czym opowiadał taniec. Tak jak żółw zapadał na całą
zimę w sen, chowając się w swej skorupie i czekając
na nadejście wiosny, tak i ludzie siedzieli zimą w do-

mach, dokładając drew do kominka, oczekując wiosennego przebudzenia się nowego życia.

Claire nagle wszystko zrozumiała. Ona też była jak ten żółw. Kiedy Emma dorosła, mogła znów skoncentrować się na sobie, ale niczym żółw trwała w uśpieniu, czekając na wiosnę, która obudzi ją do nowego życia. Wiosna... w osobie mężczyzny? Mężczyzny, w którego silnych ramionach kobieta może znaleźć zarówno miłość, jak i bezpieczeństwo? Jack Herrod oświadczył, że ją kocha. Zrobił to zwyczajnie, bez wielkich gestów, bez kwiatów. Powiedział to równie naturalnie, jak naprawiał furtkę czy pakował upominki. Rozwiązywał problemy - a życie dostarczyło mu ich więcej niż innym - z niezłomną pewnością siebie. Nie znała go zbyt długo, ale była na tyle doświadczona, by rozpoznać w nim wiosnę; nie było sensu zwlekać, aby zachować pozory.

Kiedy wschodzące słońce przemaslowało górne piętra domów w starym *pueblo* na złoty kolor, tancerze zaczęły się rozchodzić. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Kocham cię, Jack.

Obserwując go, kroczącego przez sypialnię z zamiarami czytelnie wypisanymi na twarzy, Claire pomyślała z paniką o swej figurze. Może powinna zainteresować się bliżej tą ulotką przyklepioną do tablicy informacyjnej, reklamującą zajęcia gimnastyczne. Nie miała idealnej figury. Ale, pomyślała, wszelkie niedostatki może zrekompensować nerwami, od których aż cała drżała.

- Trochę wyszłam z wprawy w tych sprawach. -
Trochę?

Spojrzał na nią czule.

- Wiem.

Wiedział? Czyżby było to aż tak widoczne?

- Może...

Cokolwiek miała zamiar powiedzieć, zapomniała o tym, kiedy ujął ją delikatnie i pocałował tak samo jak za pierwszym razem - z całkowitym skupieniem i oddaniem.

- Jestem niezdarny jak młodziak - mruknął Jack. Akurat wtedy, gdy pragnął być finezyjny, pożądanie sprawiało, że każdy jego ruch był niezręczny i gwałtowny.

Niezdarny! Jeśli twierdził, że jest niezdarny, nie przeżyłaby jego perfekcji, uznała Claire.

Potem finezja i niezdarność straciły znaczenie, pokonane przez instynkt i miłość. Ich ciała i dusze złączyły się w jedno.

Stopniowo uspokajała się, ale nie otwierała oczu, rozkoszując się ciepłem jego ciała i cudownym uczuciem bliskości. Jej usta rozchyliły się w uśmiechu. Czasami Święty Mikołaj nawet dorosłym przynosi to, o co proszą.

Jack doszedł do wniosku, że odpowiednim słowem oddającym to, co czuje, jest „ogłuszenie”. Samo oddychanie wymagało całej energii, na jaką mógł się zdobyć jego biedny, wyczerpany organizm. W końcu udało mu się zmienić pozycję. Claire cicho zaprotestowała. Podparł się na łokciu i uśmiechnął.

- No więc jak, gotowa jesteś zamieszkać ze mną przez najbliższe pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat?

Claire udała, że się zastanawia.

- A czy nadal będziesz się zdobywał na romantyczne gesty?

Poważnie skinął głową.

- Jeszcze nie widziałas wszystkich moich narzędzi. Rzuciła mu spojrzenie spod oka.

- Wystarczą mi te, które widziałam do tej pory.

Roześmiał się i przytulił ją.

- Mam nawet coś romantycznego dla Mamie.

Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Co?

Przesunął dłonią po jej plecach.

- Pamiętasz te stare obligacje?

Skinęła głową.

- Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, nie zauważyłem nigdzie daty wykupu, więc zabawiłem się w detektywa. Okazało się, że na przełomie wieków władze okręgu wypuszczały obligacje z promesą wykupu. Oznacza to, że wykupywały je, gdy dysponowały odpowiednimi środkami, na razie płacąc odsetki. Na ogół opatrywano obligacje terminem ważności, żeby nie płacić odsetek w nieskończoność, jeśli właściciel nie zgłosi ich do wykupu we wskazanym terminie.

Claire zmarszczyła brwi.

- Ale na obligacjach Mamie nie znalazłeś żadnego terminu wykupu?

Potrząsnął głową.

- Chcesz powiedzieć, że... - Nie potrafiła ukryć zdumienia.

Z namaszczeniem skinął głową.

- Przez prawie sto lat od obligacji Mamie naliczane są odsetki. To nie władze okręgu odbiorą jej dom, ale ona może uszczknąć niezły kasek majątku okręgu.

Claire patrzyła na niego przez moment, a potem zarzuciła mu ręce na szyję, o mało go nie dusząc.

- Och, Jack! To cudownie! Czy już jej o tym powiedziałaś?

Delikatnie wyswobodził się z jej uścisku na tyle, by móc odpowiedzieć.

- Jeszcze nie. Pomyślałem, że możemy to zrobić razem.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Jaki wspaniały prezent pod choinkę.

Skinął głową. Claire uzmysłowiła sobie, że przejęta niespodziewanym szczęściem Mamie, zapomniała odpowiedzieć Jackowi na jego wcześniejsze pytanie. Pocałowała go lekko.

- Prawie równie wspaniały jak mój. - Znów go pocałowała, tym razem mocniej. - Z przyjemnością zostanę z tobą przez następne pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt lat - szepnęła.

Skinął spokojnie głową, a potem przewrócił się gwałtownie, tak że znalazła się pod nim.

- Musisz mi coś wyjaśnić. - Przesunął wolno ręką po jej szyi. - Dlaczego nazwałaś mnie „podlec”?

POLVORONES
Przepis świąteczny
Patricii Gardner Evans

Te ciasteczka mają różne nazwy: maślane kuleczki, herbatniczki, migdałowe półksiężycy, kokony itp. W Nowym Meksyku nazywane są polvorones - co w tłumaczeniu z hiszpańskiego znaczy „piaskowe kulki”. Niezbyt apetyczna nazwa, ale wyjątkowo celna i bez wątplenia nadana przez kogoś, kto prowadzi gospodarstwo podobne do mojego. Ponieważ hiszpańska nazwa brzmi o wiele ładniej i bardziej egzotycznie, wasza rodzina i przyjaciele nie muszą wiedzieć, że jedzą piaskowe kulki.

- 1 kostka masła
- 1/2 szklanki cukru pudru
- 1/2 łyżeczki soli
- 1 szklanka drobno posiekanych migdałów lub orzechów
- 1 łyżka esencji waniliowej
- 2 szklanki mąki

Utrzeć masło, stopniowo dodając cukier i sól, aż powstanie puszysta masa. Dodać orzechy i aromat, wyrabiać, stopniowo dosypując mąkę. Wymieszać dokładnie. Z kawałków ciasta wielkości orzecha włoskiego uformować kulki lub półksiężycy.

Piec na nie natłuszczonej blasze piętnaście do dwudziestu minut w temperaturze stu pięćdziesięciu stopni, póki spód nie zacznie się rumienić. Lekko ostudzić i posypać cukrem pudrem.

Z podanych składników otrzymuje się dwadzieścia cztery ciasteczka.